

zwrot

12
25

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ

ADAM ĆMIEL

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1 W Domu PZKO w Jabłonkowie otwarto wystawę *Cztery pory roku*, przygotowaną przez panie z Klubu Kobiet we współpracy z uczniami Szkoły Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza. Na ekspozycji zaprezentowano dekoracje i rękodzieło inspirowane wiosną, latem, jesienią i zimą – od wiosennych wianków, przez kwiatowe kompozycje i jesienne dekoracje, po świąteczne ozdoby zimowe. Wernisaż uświetniły występy dzieci (chór *Mała Jabłoneczka*) oraz zespołu *Zaolzi*. Zwiedzający mogli skorzystać z poczęstunku w formie domowego obiadu, kawy i wypieków. ▼



1 W Domu PZKO w Jabłonkowie uroczystie otwarto nową szatnię dla zespołów *Zaolzi* i *Zaolzioczek*. Pomieszczenie, które wcześniej pełniło funkcję składziku, zostało odnowione przez członków zespołów i przekształcone w funkcjonalną przestrzeń do przebijania, przechowywania kostiumów oraz spotkań i wspólnego planowania. ▼



6 W ramach Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego ZG PZKO profesor Daniel Kadłubiec wygłosił wykład *Ślady staropolszczyzny w gwarach cieszyńskich*. W trakcie spotkania wykazał, że wiele cech słownictwa (np. *strzoda*, *zdradło*, *zgrzbie*) oraz elementów fonetyki i fleksji gwar cieszyńskich ma korzenie w staropolszczyźnie, a nie w zapożyczeniach – a zatem gwarę cieszyńską można uznać za skarbnicę dawnych form językowych. ▼



6 W Domu Kultury w Cierlicku odbył się wieczór literacki autorki Danuty Chlup, podczas którego zaprezentowano jej nową powieść *Vrstvy na dně*. Książka podejmuje temat Cierlickiej Zapory i zatopionej wioski – autorka wyjaśniła, że choć inspirowała się relacjami dawnych mieszkańców, postacie są fikcyjne. Spotkanie prowadziła Katarzyna Czerna. Po oficjalnym spotkaniu czytelnicy mogli porozmawiać z pisarką i zdobyć autograf. ▼



6 W przedszkolu przy ulicy Moskiewskiej w Czeskim Cieszynie – w ramach projektu Słówkolandia – odbyły się kolejne warsztaty logopedyczne dla nauczycielek zaolziańskich przedszkoli. Celem przedsięwzięcia jest rozwijanie językowych umiejętności dzieci oraz podnoszenie kompetencji pedagogów w zakresie logopedii. Zajęcia prowadziła logopedka Kalina Stefaniak; oprócz zajęć z dziećmi nauczycielki miały okazję wymienić się doświadczeniami i omówić stosowane metody pracy. Projekt organizuje Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie. ▼



6 W Trzyńcu odbył się zjazd absolwentów dwóch szkół podstawowych: Polskiej Szkoły Podstawowej im. Gustawa Przeczka w Trzyńcu oraz dawnej polskiej szkoły przy ul. Kopernika. Spotkanie rozpoczęło się w murach szkoły – absolwenci z piętnastu roczników spotkali się z nauczycielami (czynnymi i emerytowanymi), wspólnie wspominali szkolne lata, a także zrobili pamiątkowe zdjęcia klasowe. Wieczorem uczestnicy przenieśli się do Domu Kultury *Trisia*, gdzie odbyła się część rozrywkowa z muzyką DJ-a Marka Bartnickiego. ▼



✂✂✂ Przedstawicielki Ministerstwa Spraw Zagranicznych — Anna Bogusz i Sylwia Chraniuk — odwiedziły Zaolzie, by skontrolować prace realizowane w ramach programu Infrastruktura Polska 2025. W czasie wizyty odwiedziły siedzibę ZG PZKO oraz Domy PZKO w Milikowie, Bukowcu, Czeskim Cieszyńcu-Sibicy, Cierlicku i Czeskim Cieszyńcu-Mostach, sprawdzając stan remontów. ▼



7 Pod Tablicami Katyńskimi na Konteszyńcu w Czeskim Cieszyńcu odbyła się uroczystość z okazji Święta Niepodległości zorganizowana przez Rodzinę Katyńską w Republice Czeskiej. Podczas wydarzenia złożono kwiaty i symbolicznie odśpiewano *Rotę*. W części artystycznej wystąpiło trio *La Frella* a wiersz odczytał uczeń Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszyńcu. Modlitwę ekumeniczną poprowadził pastor Martin Pięta. Prezes Rodziny Katyńskiej Jan Ryłko przypomniał okoliczności odzyskania niepodległości przez Polskę. Konsul RP w Ostrawie Stanisław Bogowski zaznaczył, że upamiętnienie ofiar zbrodni katyńskiej to obowiązek wobec przeszłości. ▼



7 W siedzibie Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie odbyła się uroczystość z okazji Narodowego Święta Niepodległości, z udziałem przedstawicieli polskich organizacji z Zaolzia. Głównym punktem programu był koncert pieśni patriotycznych w wykonaniu chóru szkolnego *Trallala* z Czeskiego Cieszyńca pod kierownictwem Beaty Brzóski. W trakcie wydarzenia konsul Stanisław Bogowski podkreślił znaczenie pielęgnowania polskiej tożsamości za granicą. W ramach programu odbyła się recytacja wiersza i refleksja duchowa. ▼



7 W Domu PZKO w Wierzniowicach odbyła się kolejna edycja degustacji domowych win pod nazwą *Zichersuperschuss*. Zaprezentowano 25 trunków przygotowanych przez członków koła — wina z owoców, śliwek, ryżu, czereśni, żurawiny i innych składników. Uczestnicy oceniali je w anonimowym głosowaniu — najwyższe oceniło wino jeżynowe, porto i czereśniowe.

7 W kawiarni *Avion* w Czeskim Cieszyńcu odbył się koncert zespołu *TA GRUPA* pod tytułem *Odłot w Avionie*. W programie znalazły się m.in. piosenki z repertuaru Kabaretu Starszych Panów oraz utwory o charakterze kabaretowo-folklorystycznym — publiczność reagowała brawami i śmiechem. Zbiórka datków zebranych podczas wydarzenia przyniosła 13 000 CZK, które przekazano na remont budynku *Fasálówki*.

8 W Domu PZKO w Olbrachcicach odbyło się tradycyjne Jesienne Spotkanie, na którym dzieci z tamtejszej polskiej szkoły i przedszkola zaprezentowały jesienne tańce i przedstawienie o wykopkach. Po ich występie gości bawiła góralska kapela *Bukóń*. ▼



8 W hali sportowej w Nawsiu rozegrano XIX Turniej w Siatkówce Drużyn Amatorskich o Puchar Przechodni *Baginieckiego Gorola*, organizowany przez Macierz Szkolną w RC oraz Grzegorza Skupnia. W rywalizacji udział wzięło 14 drużyn, w tym *Słoneczni* z Łazisk Górnych, którzy zajęli pierwsze miejsce; kolejne pozycje zdobyły zespoły *Prašivá* i *MaSz* z Bystrzycy. Turniej rozegrano w nietypowym systemie, w którym przegrana drużyna sędziowała następne spotkanie. ►



8-9 W Domu PZKO w Stonawie otwarto wystawę pt. *Rowerem przez Stonawę*, zorganizowaną przez Klub Kobiet przy Miejskowym Kole PZKO. Za pomocą kreatywnej formuły „podróży rowerowej bez wysiłku” prezentowano ekspozycje dokumentujące lokalne miejsca — kościoły, ogrody, osiedla, stawy, a także dawne gospodarskie i górnicze przystanki. Wydarzenie uświetniły występy zespołu folklorystycznego *Dziecko ze Stonawy* oraz chóru *Stonawa*, a w otwarciu wzięli udział m.in. przedstawiciele władz lokalnych i członkowie ZG PZKO. ▼



LISTY: Na Zaolziu i Wileńszczyźnie
Rozmowy o życiu Polaków | 3

ROZMOWA ZWROTU:
Adam Ćmiel:
Jeździec, który się nie poddaje.
Z Piosecznej na podium
Wielkiej Pardubickiej | 4

NASZE KLUBY:
Klub Młodych przy MK PZKO Cierlicko | 10

SPRAWY POLONIJNE:
Barbara Wojda, nowa prezes Europejskiej
Unii Wspólnot Polonijnych:
Powinniśmy kultywować naszą działalność
polonijną i doceniać jej znaczenie | 12

KONKURS FOTOGRAFICZNY
„Dożynki w obiektywie czytelników” | 13

PIAMIĄTKA RODZINNA:
Między Krakowem a Śląskiem Cieszyńskim.
Z wizytą u wnuczki Jana Raszki | 14

REGION:
Górska szopka w Mostach k. Jabłonkowa
świętuje trzydziestolecie | 23

LITERATURA:
Epilog życia Zbigniewa Herberta | 26

MŁODZIEŻ:
Gdzie kończy się Ukraina,
a zaczyna Polska | 28

REPORTAŻ:
Od Nautilusa po Espadon
ze Stevem McQueenem w tle, cz. 2 | 34

HISTORIA:
Moje epitafium. Król Otokar | 39

TU SIĘ CZYTA:
Tu się czyta! | 42

SPACER ZWROTU:
Spacerzy Zwrotu z prezesami
miejscowych kół PZKO: Orłowa Poręba | 44

Droży Państwo,

w tym szczególnym czasie, kiedy wracamy do rodzinnych stołów i do tradycji, które od lat budują naszą tożsamość, chcemy złożyć Państwu płynące z serca życzenia spokojnych i pełnych ciepła Świąt Bożego Narodzenia.

Niech te dni niosą ze sobą bliskość, życzliwość i poczucie wspólnoty – tej rodzinnej, i tej naszej, polskiej. Niech spotkania przy wigilijnym stole przypomną nam, jak ważne jest bycie razem.

Życzymy Państwu, aby miłość była obecna w codziennych sprawach, a tradycje przekazywane dalej – dzieciom i wnukom – dawały poczucie ciągłości i zakorzenienia. Niech sprawią, że nawet w zmieniającym się świecie będziemy czuć, że jesteśmy u siebie.

W imieniu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego i Kongresu Polaków dziękujemy za wspólny wysiłek, zaangażowanie i za to, że razem tworzymy przestrzeń, w której polska kultura, język i pamięć mają swoje trwałe miejsce.

Życzymy dobrych, rodzinnych Świąt
oraz spokojnego, pełnego nadziei Nowego Roku.

Helena Legowicz,
prezes Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego

Mariusz Wałach,
prezes Kongresu Polaków

zwrot

magazyn regionalny
nr ewidencyjny MK ČR E 389, rok LXXVI, nr 913

Projekt finansowany ze środków
Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu
pn. Polonia i Polacy za granicą 2023 ogłoszonego przez
Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie
mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem
Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji
„Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu
w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej
Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2025 roku.



Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej
przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.
IČ 442771, numer konta: 232992221/0300

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indi@zwrot.cz
Śárka Michalik / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28, Český Těšín
(Czeski Cieszyń), czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyń)
tel.: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Zenon Kiłsza / Redakcja obrazu i składu: Studio Matrix

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyń

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca
materiałów niezamówionych. Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč,
wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub
bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02
z Przedsiębiorstwem Państwowym POČTA ČESKÁ, oddział Morawy Północne.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 7 grudnia 2025 • ISSN 0139-6277



NA ZAOLZIU I WILEŃSZCZYŹNIE ROZMOWY O ŻYCIU POLAKÓW

Halina Szczotka ze „Zwrotu” i Rajmund Klonowski z „Kuriera Wileńskiego” w swoich listach piszą o tym, jak wygląda życie Polaków na Zaolziu i na Litwie. Co nas łączy, a co różni? Jakie mamy tradycje, z czym się mierzymy na co dzień?



Posłuchaj
podcastu
„Na Zaolziu
i Wileńszczyźnie”

Droga Halino,

nasz cykl listów trwa już rok – i chyba ten rok był dość obfity w wydarzenia. Przeważnie piszemy tutaj o historii przeszłej, ale historia dzieje się również na bieżąco.

W rządzie Litwy mamy dziś dwóch ministrów narodowości polskiej, z różnych partii politycznych. I jeszcze więcej wiceministrów we wszystkich resortach. Jeszcze piętnaście lat temu nie do pomyślenia było, żeby Polak był ministrem. Gdy w 2012 roku ministrem energetyki został Jarosław Niewierowicz – znany Litwinom, sprawdzony specjalista wysokiej klasy, wcześniej będący dyrektorem interkonektora energetycznego Lit-Pol-Link – i tak pojawiały się pytania, czy Polak może być ministrem.

Dziś takich pytań nie ma – obecnie temat narodowości naszych specjalistów nie budzi kontrowersji. W poprzedniej kadencji Polka, Ewelina Dobrowolska, była ministrem sprawiedliwości – była krytykowana za wykształcenie czy tatuaże, ale nie za narodowość. Jarosław Niewierowicz, Jarosław Narkiewicz, Rita Tamašūnienė, Ewelina Dobrowolska – wydeptywali ten szlak dla kolejnych Polaków swoją pracą. I to jest historia, której jesteśmy świadkami za naszego życia.

Grudzień to czas Bożego Narodzenia, które poprzedzają Mikołajki. Tego dnia w wielu domach wręcza się drobne upominki, najczęściej słodczyce. Zdarza się, że przygotowuje się specjalne świąteczne skarpety, aby zmieściło się w nich więcej prezentów, a niekiedy drobiazgi trafiają także do butów.

Ubieranie choinki odkłada się zazwyczaj na później – często aż do samej Wigilii. Wybór jest prosty: część osób korzysta ze sztucznych drzewek, które służą przez wiele lat, inni stawiają na naturalne. W tym drugim przypadku można kupić choinkę ściętą, która po świętach trafia na opał, albo wybrać drzewko w doniczce. Takie choinki po świętach oddaje się do posadzenia, a nabywca może nawet poznać dokładną lokalizację swojego drzewka w lesie i odwiedzać je w kolejnych latach.

Zaczynają się także bożonarodzeniowe jarmarki – bardziej kopiowane z zachodu, niż z naszych własnych tradycji, te zostały bowiem chyba bezpowrotnie zniszczone przez rosyjskich okupantów. Na wileńskim Starym Mieście tradycyjnie są dwa ośrodki – Plac Ratuszowy i Plac Katedralny – to na nich skupiają się stoiska. Ale własny charakter tych jarmarków musimy jeszcze wypracować – bo są w literaturze nawet przepisy na pierniki czy kisiel z... owsa, ale trzeba je przywrócić do praktyki.

Drogi Rajmundzie,

zgadzam się, ten rok był bardzo obfity w wydarzenia. Polacy na Zaolziu ponownie mogą się cieszyć z tego, że mają swojego posta. Bo do senatora Polaka jakoś już się wszyscy przyzwyczaili. Jeszcze nie tak dawno mieliśmy nawet dwu senatorów – Jerzego Cieniąłę i Andrzeja Febera. Temu pierwszemu już skończył się mandat.

Trzeba przyznać, że dla nas to bardzo ważne, by mieć „swojego człowieka w Pradze”. Choć prawa mniejszości polskiej nie są w Czechach spektakularnie łamane, to jednak życie przyzwyczało nas, że trzeba trzymać rękę na pulsie. Zawsze bowiem przy zmienianiu przepisów i wprowadzaniu reform istnieje ryzyko, że nasze interesy zostaną pominięte.

Przed nami Święta Bożego Narodzenia, moje ulubione. Choć mam dylemat. Z jednej strony lubię te wszystkie kiczowate, komercyjne elementy świąt. Kiedy dać ponieść się kiczowatości, jak nie w święta? Tyle że komercja nie lubi oczekiwania, zalewa nas atmosferą świąteczną już od listopada. Do tego zachodnia moda na jarmarki i rozświetlania choinek w dużych miastach i najmniejszych nawet wioskach. I adwent z okresu wyciszenia, zmienił się w zwariowany czas. Nie ma okazji do tego, by się wyciszyć, trzeba biec – na jarmark, do sklepu, na koncert kołęd, na wystawę świąteczną, itp.

I chyba w tym wszystkim najbardziej żał mi dzieci. Jeśli w ciągu jednego dnia spotykają dwu albo i trzech Mikołajów, to który z nich jest prawdziwy? Pamiętam, jak jako małe dziecko czekałam w domu wieczorem na przyjście Mikołaja i jego świty. Tę tworzyło kilka diabłów i anioł, czasami z Mikołajem chodziła też baba. Tak jak inne dzieci miałam przygotowaną piosenkę, wierszyk. Mikołaj przypominał moje dobre uczynki, ale też zwrócił uwagę na pewne niedociągnięcia. Pod koniec wizyty otrzymywałam prezent – paczuszkę z owocami, które były dostępne tylko przed Bożym Narodzeniem (jak banany, pomarańcze, czy mandarynki), orzeszkami ziemnymi, słodyczami i jakimś drobiazgiem.

Teraz już wiem, że za Mikołaja i jego świtę przebierali się członkowie Klubu Młodych działającego przy naszym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. I cieszę się bardzo, że tę tradycję udało się u nas zachować. Czas jednak biegnie nieubłagalnie. Nie tak dawno jako członek naszego Klubu Młodych przebieierałam się za diabła (nie wiem dlaczego nigdy nie chcieli się zgodzić, bym była aniołkiem). W tym roku w postać Mikołaja wcielił się mój syn.

Rajmund Klonowski

Halina Szczotka

ADAM ĆMIEL: JEŹDZIEC, KTÓRY SIĘ NIE PODDAJE

Z PIOSECZNEJ
NA PODIUM
WIELKIEJ
PARDUBICKIEJ



TEKST: RENATA STASZOWSKA / ZDJĘCIA: ZENON KISZA

Pochodzi z Piosecznej i choć do wyścigów konnych miał z Beskidów naprawdę daleko, nie zrezygnował z dziecięcego marzenia, by stanąć w siodle do startu w Wielkiej Pardubickiej. Adam Ćmiel, skromny, pracowity i odporny jeździec, dziś jest jedną z rozpoznawalnych twarzy czeskich wyścigów przeszkodowych. Jak sam podkreśla, jego droga wcale nie była prosta. Nie był gwiazdą, która pojawia się na scenie jak kometa. Raczej krok po kroku budował swoją pozycję, zdobywał doświadczenie i uczył się czytać każdy skok, konia i przeciwników. W sporcie, w którym liczy się instynkt, odwaga i odporność na ból, to właśnie cierpliwość bywa najcenniejsza.

O POCZĄTKACH KARIERY

Jak zaczęła się Twoja przygoda z końmi i wyścigami?

Wszystko zaczęło się jeszcze w dzieciństwie. Mój *starzik* miał konia i na gospodarce praktycznie wszystko robiło się konno – przy sianie, ziemniakach, zbiorach. Cała rodzina schodziła się pomagać, a ja od małego kręciłem się przy koniu, podpatrywałem, dotykałem, byłem blisko. Tak naprawdę od początku dorastałem w zapachu stajni.

Później poznałem koleżankę – Ewę Niestanik. Siedzieliśmy razem w ławce, bawiliśmy się po szkole. Jej rodzice kupili konia, więc zaprosiła mnie: *Przyjdź, zobacz, może pojeździsz*. I wtedy przepadłem. Ona pokazywała mi, jak dbać o konia, jak z nim pracować. Mogłem na niego wsiąść i po raz pierwszy poczułem, że to jest mój świat – konie i ja.

Prosiłem rodziców, by zapisali mnie chociaż do klubu albo wystali na obóz jeździecki. Myślę, że przywiązanie do koni człowiek musi mieć w sobie od urodzenia. Ja to po prostu wyniosłem z domu i zostało na całe życie.

Pochodzisz z Piosecznej.

Jak wyglądały Twoje pierwsze kroki w świecie wyścigów?

To nie była prosta droga. Po skończeniu szkoły bardzo chciałem trafić do koni wyścigowych, ale nie wiedziałem jak. Rodzice byli raczej sceptyczni – chcieli, żebym miał „konkretny” zawód, coś pewniejszego. Wyuczyłem się więc zawodu tokarza. Do koni wróciłem dopiero, gdy szkołę skończyłem.

Szukając informacji w internecie, zrozumiałem, że u nas w Czechach trudno będzie mi znaleźć pracę przy wyścigach. Dlatego podjąłem decyzję – wyjechałem do Anglii. Przez agencję trafiłem do stajni wyścigowych i spędziłem tam półtora roku. To był czas ciężkiej pracy, ale też ogromnej nauki – o treningu, organizacji, dyscyplinie, odpowiedzialności.

Po jakimś czasie dostałem wiadomość, że pan František Holčák szuka kogoś do pracy i – co było dla mnie największym benefitem – daje szansę jeździć konno. Wróciłem więc do Czech. Pierwszą prawdziwą szansę wystartowania w wyścigach otrzymałem jednak dopiero od Milana Theimera. I tak naprawdę wtedy na poważnie zaczęło się moje życie w świecie wyścigów.

Pamiętasz swoje pierwsze zwycięstwo i emocje z nim związane?

Tego się nie zapomina. Mój pierwszy wygrany wyścig odbył się we Wrocławiu. Miałem wystartować tylko jako zastępstwo – kolega nie mógł wziąć udziału, więc wskoczyłem na jego miejsce. Koń nazywał się Krab, pochodził z Polski.

Kiedy minęliśmy metę jako pierwsi, przeżyłem mieszankę euforii, niedowierzania i ogromnej radości. Człowiek jedzie w siodle kilka minut, ale te emocje zostają na całe życie. Pamiętam tamten moment bardzo wyraźnie do dziś.



W swojej karierze spotkałeś wiele wspaniałych koni. Czy któryś z nich odegrał dla Ciebie szczególną, najważniejszą rolę?

To bardzo trudne pytanie. Nie potrafiłbym wskazać jednego. Każdy koń, z którym udało mi się wygrać, miał dla mnie znaczenie – każdy nauczył mnie czegoś innego, dał inne emocje, inne doświadczenie.

To trochę jak z ludźmi w naszym życiu – jednych lubimy bardziej, innych mniej, ale każdy zostawia po sobie ślad. Tak samo jest z końmi. Te, z którymi zwyciężałem, były dla mnie ważne – każdy na swój sposób. Dzięki nim jestem w tym miejscu.

Jak zmieniała się Twoja jazda i podejście do wyścigów na przestrzeni lat?

Człowiek uczy się całe życie, a wyścigi bardzo szybko to weryfikują. Na początku byłem jak każdy młody jeździec – chciałem wygrać za wszelką cenę. Ambicja i adrenalina brały górę nad rozsługą. Przez to popełniałem błędy, często zupełnie niepotrzebne.

Z czasem zaczynasz inaczej patrzeć na wyścig – nie jak na sprint, ale jak na plan, który trzeba mądrze rozegrać. Dochodzi doświadczenie, cierpliwość, wycucie tempa. Dziś wiem, że nie zawsze ten, kto ruszy najmocniej, dojedzie pierwszy. Dzisiaj staram się myśleć, przewidywać i jeździć z głową, oceniam sytuację, kiedy przyspieszyć, kiedy odpuścić, kiedy poczekać na swój moment. Teraz podchodzę do tego inaczej – najpierw oceniam konia i sytu-



Drugi wyścig w życiu, klacz Playletka, Lysá n. Labem (19. 9. 2009)



Rok 2009, Lysá n. Labem

ację, nie rzucam się za wszelką cenę do ataku.

To nauka przez doświadczenie. Tak jak w życiu – z czasem człowiek zaczyna działać z większą rozsługą. I w wyścigach, i poza nimi. I ciągle się uczę.

ODPORNOŚĆ, KTÓRA RODZI SIĘ W UPADKU

Wyścigi przeszkodowe są piękne, ale i wymagające jednocześnie. Adam Ćmiel ma za sobą upadki i kontuzje, które potrafią zakończyć karierę w jeden dzień. On jednak traktuje je jako część zawodu. Uparcie wraca w siodło – i tym zdobywa szacunek. „Dzokej nie zwycięża dlatego, że nigdy nie upadł. Zwycięża dlatego, że potrafi wstać” – mówią za kulisami wyścigów. W przypadku Adama to zdanie pasuje idealnie.

Które doświadczenie było dla Ciebie największą lekcją – upadek, porażka, czy może sukces?

Myślę, że najwięcej uczą porażki. Po wygranej zwykle człowiek cieszy się chwilą, ale po przegranym wyścigu wraca myślami do każdego momentu i zastanawia się, co mógł zrobić inaczej. To zmusza do refleksji i pokory.

Największą lekcją był jednak mój poważny wypadek. Złamałem prawą nogę w kostce – tak poważnie, że była odwrócona o 180 stopni. Stało się to na przeszkodzie. Koń niestety nie przeżył. Dla mnie oznaczało to pół roku bez pracy przy koniach i bez jazdy.

Miałem wtedy dużo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Zrozumiałem, jak ważne jest podejście do każdego wyścigu – nie tylko ambicja, ale również ocena ryzyka, formy konia, przygotowania. Chciałem za wszelką cenę jechać, a może trzeba było inaczej ocenić sytuację. To była trudna lekcja, ale dała mi wiele pokory i szacunku do tego sportu.

WIELKA PARDUBICKA – SPEŁNIONE MARZENIE Z DZIECIŃSTWA

Przetom nastąpił w 2022 roku. Na pardubickim torze zwyciężył aż trzy razy w ciągu jednego dnia. Hatrick, o którym zaczęli mówić kibice i eksperci, przesunął nazwisko Adama Ćmiela bliżej czołówki czeskich dzokejów. Od tej chwili przestał być tym chłopakiem z Piosecznej. Stał się jeźdźcem, z którym trzeba się liczyć. Start w Wielkiej Pardubickiej nie jest czymś oczywistym. Ukończenie jej to sukces. A wejście do czołówki? To wymaga czegoś więcej niż talentu. Wymaga uporów. Za jeden z najważniejszych momentów uznaje się jego trzecie miejsce na koniu Ćaryjape – wynik, który zaskoczył nie tylko publiczność, ale i część środowiska wyścigowego. Outsider, który miał jedynie „spróbować szczęścia”, pokazał, że szczęście sprzyja przygotowanym i odważnym.

Pamiętasz swój debiut w Wielkiej Pardubickiej w 2020 roku na koniu Bugsie Malone?

Tego się nie zapomina. Dostałem świetnego konia, Bugsie Malone, który również po raz pierwszy startował w Wielkiej Pardubickiej, choć miał już doświadczenie w wyścigach. Od początku do końca jechaliśmy razem, krok w krok, i udało nam się bezpiecznie dotrzeć do mety.

Był to dla mnie spełnienie marzenia z dzieciństwa – stanąć na starcie tego legendarnego wyścigu. Moim celem było przede wszystkim dotrzeć do mety i cieszyć się tym doświadczeniem. Kiedy udało się osiągnąć cel, poczułem ogromną radość i satysfakcję. Tego momentu nigdy się nie zapomina.

Jak wtedy przeżywałeś swój debiut w Wielkiej Pardubickiej?

To było spełnienie mojego marzenia i moment, którego się nie zapomina. Kiedy



Dla Adama Taxis po raz pierwszy w życiu. Bugsie Malone dosiadany przez Adama ukończył Wielką Pardubicką na 10. miejscu (11. 10. 2020)

skakaliśmy przez Wielki Taxis, miałem wrażenie, że czas się zatrzymał – świat wokół przestał istnieć. Byliśmy tylko ja, mój koń i legendarna Wielka Pardubicka.

Całe to przeżycie było jak w zwolnionym tempie w telewizji. Kiedy udało nam się bezpiecznie wylądować, poczułem coś jak zakochanie – motyle w brzuchu i ogromną wdzięczność, że udało nam się dotrzeć do mety. Zarówno ja, jak i koń, debiutowaliśmy w tym wyścigu, a radość i euforia po jego ukończeniu były nie do opisania. Teraz, kiedy o tym mówię, wciąż czuję tę samą ekscytację – spełniło się moje marzenie z dzieciństwa.

Jak przygotowujesz się do tak wymagającego wyścigu, jak Wielka Pardubicka?

– Gonitwa ta jest szczytem sezonu, nie da się do niej przygotować w tydzień czy dwa. Przygotowania trwają cały rok. Każdy

wyścig traktuję jak część treningu, w sezonie mam około 70–100 startów, w tym kilka właśnie w Wielkiej Pardubickiej.

Żeby być w formie, dbam nie tylko o jazdę, ale też o kondycję fizyczną – chodzę na basen, biegam, ćwiczę. To całoroczne przygotowanie – zarówno ja, jak i konie musimy być w pełni gotowi, aby sprostać wymaganiom tego legendarnego wyścigu.

Jakie znaczenie ma dla Ciebie tegoroczna kwalifikacja z Čáryjapem?

Ta kwalifikacja ma dla mnie ogromne znaczenie. Przygotowujemy się do niej z Čáryjapem już od trzech lat. Przez ten czas startowaliśmy w dziesięciu wyścigach i dwukrotnie udało nam się wygrać.

Wreszcie mam naprawdę świetnego konia, a nasza współpraca daje efekty. Cieszę się, że mogliśmy pokazać, że z Čáryjapem jesteśmy gotowi do Wielkiej Pardubickiej.

To dowód na to, że cierpliwość, systematyczna praca i wzajemne zaufanie konia i jeźdźcy przynoszą rezultaty.

W Pardubicach nie tylko zapewniłeś sobie start w tej gonitwie, ale jeszcze tego samego dnia wygrałeś z Lavernem. To musiało być niesamowite przeżycie – jak smakowało to zwycięstwo?

To był kompletny rollercoaster emocji. Po kwalifikacji miałem wsiąść w auto i jechać prosto na uroczystość rodzinną. Już byłem myślami gdzie indziej, gdy nagle dopadła mnie trenerka i z prośbą w oczach mówi: *Potrzebujemy ciebie, pojedziesz?*

Nie ukrywam – dwa razy odmówiłem. Dopiero za trzecim kiwnąłem głową i powiedziałem: *Dobrze, jedziemy w to.*

Cała sytuacja była trochę jak z filmu. Podczas próbnego skoku Laverne mnie zrzucił, a sam skoczył dalej jak gdyby nigdy nic. Schwycili go trenerzy, ja wskoczyłem ponownie, skoczyliśmy raz jeszcze – tym razem już wspólnie – i właściwie bez chwili wytchnienia było trzeba startować. Nikt nie zdążył mi wytłumaczyć taktyki, trenerka tylko rzuciła: *Jedź tak, jak czujesz.*

I to było wspaniałe – pojechałem totalnie na intuicji, bez kalkulacji, bez planu w głowie, tylko koń i ja.

Okolo 400 metrów przed celownikiem jechaliśmy z rywalem łeb w łeb – taka prawdziwa, sportowa walka, gdzie obaj chcemy wygrać i obaj wiecie, że decydują ułamki sekund. Tym razem szczęście uśmiechnęło się do mnie. Kiedy mineliśmy metę pierwsi, czułem ogromną radość, trochę niedowierzanie i... wdzięczność. Bo to zwycięstwo przyszło w sposób zupełnie nieplanowany, a przez to smakowało podwójnie – jak prezent od losu.



Po zwycięstwie w siodle Laverne (Pardubice 6. 9. 2025)



Adam w Służowicach 28.10. 2025



Wielka Pardubicka 2025

Masz jakieś rytuały lub nawyki przed ważnym wyścigiem?

Nie mam talizmanów ani skomplikowanych rytuałów. Zawsze jednak powierzam siebie Bogu – proszę, bym szczęśliwie i zdrowo dojechał do celu. Mam też mały „dopalacz” na drogę – gdy jedziemy z moją przyjaciółką na zawody, w aucie zawsze leci jeden konkretny utwór: *Twierdza Boyard*. To taki

mój prywatny zastrzyk odwagi i koncentracji, wprowadza mnie w odpowiedni rytm i przypomina, żeby wierzyć w siebie.

Jakie cele stawiasz sobie na kolejne sezony?

Chciałbym korzystać z tego, gdzie teraz jestem, i iść krok dalej. Każdy kolejny

sezon to nowa szansa – na lepsze wyniki, na mądrzejszą jazdę, na zbudowanie więzi z końmi, które trafiają pod moje skrzydła.

Oczywiście Wielka Pardubicka jest w sercu każdego jeźdźcy, ale dla mnie równie ważne jest to, by rozwijać się konsekwentnie, z pokorą i pasją. Dopóki zdrowie dopisze i wciąż będzie we mnie ta iskra zamierzam walczyć o kolejne sukcesy.

INNI O ADAMIE

ZENON KISZA

Z Adamem znamy się blisko trzy dekady i muszę szczerze powiedzieć: nigdy by mi nie przyszło do głowy, że ten cichy, niepozorny synek, który jako chłopak przychodził do naszego kółka jeździeckiego w Jabłonkowie, pewnego dnia stanie na podium Wielkiej Pardubickiej. To, co z zewnątrz wygląda jak błysk sławy i kilka minut oklasków kosztuje, wcześniej lata wyrzeczeń, potu, łez i bólu. Jeździectwo wyścigowe to sport dla ludzi o naprawdę mocnych nerwach, a Adam zdecydowanie jest jednym z nich. Jeśli zdrowie oraz jego nieodłączny dobry humor nadal będą mu sprzyjać, jestem przekonany, że to jeszcze nie koniec, a kolejne sukcesy dopiero przed nim.

KRYSTYNA BARTEK, SIOSTRA

Najpierw było mi naprawdę ciężko, kiedy odszedł i pojechał w świat. Trudno mi było pogodzić się z tym, że tak nagle nas opuścił, bo byliśmy ze sobą bardzo blisko. Ale z czasem, kiedy widziałam, że robi to, co kocha, że się spełnia i że jest przy tym naprawdę szczęśliwy, żal ustąpił miejsca dumie. A kiedy przyjeżdża do domu, choćby na kilka dni, to od razu robi się żywiej, weselej, jakby ktoś przewietrzył cały dom od środka.

Najmocniej przeżywał to tata. Pamiętam jego twarz, kiedy oglądaliśmy, jak Adam wygrywa – w oczach miał tży szczęścia. Takiej dumy ojca ze swojego syna nie da się opisać jednym zdaniem.

Adam od zawsze był przedsiębiorczy, szybki w działaniu, czasem aż za szybki – to już jego natura. Kocha zwierzęta, szczególnie

konie, odkąd pamiętam. Wiele ludzi nie wierzyło, że z tej pasji coś będzie, ale ja wierzyłam w niego od samego początku. Podziwiałam, jak jedzie konsekwentnie po swoje, nawet jako dzieciak. Jako brat był fantastyczny – zabierał mnie do stajni, próbował mnie „wyszkolić”, aż do momentu, kiedy koń się splotył i moja kariera jeździecka zakończyła się szybciej, niż się zaczęła.

Potem wyjechał, miał 18 lat, i od tamtej pory widzujemy się rzadziej. Dlatego każde jego zwycięstwo przeżywamy podwójnie i ogromnie się z niego cieszymy. Jesteśmy wdzięczni, że możemy przynajmniej dwa razy w roku pojechać do Służowic i zobaczyć go w akcji tam, gdzie jest najbardziej sobą.

RENATA STASZOWSKA, NAUCZYCIELKA KLASOWA

Adam trafił do mojej klasy wtedy, gdy sama rozpoczynałam pracę po ukończeniu studiów – był jednym z pierwszych uczniów, których miałam okazję uczyć. Był z tych, co mają w oczach błysk i w głowie milion pomysłów na minutę. Niby urwis, ale z sercem na dłoni – zawsze życzliwy, zawsze uśmiechnięty.

Widziałam, że czasem nie może już wysiedzieć ani sekundy dłużej. Podnosił wtedy rękę i pytał bardzo grzecznie: „Pani, mogę na chwilę wyjść?”

Znając już jego temperament, kiwałam głową. Po chwili z korytarza było słychać charakterystyczny tupot i podskoki, jakby trenował bieg z przeszkodami, tylko przeszkód brakowało.

Wracał uspokojony na kilka minut i znów próbował dzielnie wytrzymać w ławce. Patrząc z perspektywy czasu, zupełnie mnie nie dziwi, że dziś wybiera drogę, w której energia, odwaga i nieustanny ruch są jego największymi sprzymierzeńcami. To było w nim od zawsze.

O PRACY I CODZIENNOŚCI

Jak wygląda Twój typowy dzień treningowy?

– Każdy dzień treningowy zaczynam od pracy z końmi razem z trenerem. Zwykle jeżdżę 4–5 koni, każdego w innym rytmie i z różnymi celami – jednemu poprawiamy szybkość, inny trenuje wytrzymałość, jeszcze inny skoki. Każda jazda wymaga pełnej koncentracji i wycucia.

Po treningu koni dbam o swoją kondycję fizyczną – biegam, ćwiczę na basenie, czasem robię siłownię lub ćwiczenia funkcjonalne. Dla jeźdźcy wyścigowego forma fizyczna jest tak samo ważna jak forma konia – musi być wytrzymała, szybki i gotowy reagować w każdej sytuacji.

Cały dzień jest więc połączeniem jazdy, pracy nad techniką i utrzymaniem formy, a do tego regularny odpoczynek i dbałość o regenerację. To intensywne tempo, ale konie i sport dają mi ogromną satysfakcję.

O jakim koniu marzysz w kontekście startu w Wielkiej Pardubickiej?

Marzę o koniu, z którym stworzymy prawdziwy duet, takim, który ma serce do skakania, charakter wojownika i głowę, która potrafi chłodno myśleć na trasie. W Wielkiej Pardubickiej nie wygrywa się samą szybkością, liczy się odwaga, zaufanie i współpraca.



Wielka Pardubicka 2025 i największy sukces życiowy z wałachem Čáryjape

W przyszłym sezonie chcę startować i wygrywać, każde zwycięstwo, małe czy wielkie, daje radość i pcha człowieka dalej. Oczywiście – wygrana w Wielkiej Pardubickiej to marzenie, które nosi w sercu chyba każdy jeździec w tej dyscyplinie. Dopóki ten sport mnie cieszy i dopóki czuję ogień w środku, będę do tego dążyć. Za każdym triumfem stoi ogrom pracy i pokora przed tym, co może się wydarzyć na torze.

Co daje ci największą radość poza wyścigami?

Rodzina i moja dziewczyna. Oni są moją bazą, miejscem, gdzie wracam i gdzie wszystko jest po prostu dobrze. Wyścigi to adrenalina, rywalizacja i spełnienie, ale życie nabiera sensu dopiero wtedy, kiedy

masz z kim dzielić sukcesy i porażki. To jest moja największa radość.

Jak to właściwie wygląda z wyborem konia do startu, sam decydujesz, na którym koniu pojedziesz?

To nie jest tak, że mogę palcem wskazać i powiedzieć: *chcę jechać na tym*. Decyzję podejmują trener i właściciel – to oni planują starty, formę koni i ich przyszłość. Czasem decyduje... odrobina przypadku.

Trzy lata temu pojechałem w zastępstwie za kolegę, który doznał kontuzji. Wygrałem z tym koniem i nagle okazało się, że tworzymy zgrany duet. Mój kolega, Martin Liška, który go wtedy trenował, miał w tamtym sezonie jeszcze jednego konia do Wielkiej dla siebie, więc tak się poukładało, że od tamtej pory to ja jeżdżę tego konia regularnie.

Czasem życie samo napisze najlepszy scenariusz – wsiadasz na chwilę, a zostajesz na dłużej i tworzysz historię.

JEŹDZIEC, KTÓRY POTRAFI ZASKOCZYĆ

Nie jest typem sportowca, który stawia się na piedestale. Często dosiada koni, które nie uchodzą za faworytów, a jednak wspólnie potrafią odmienić losy wyścigu. Może dlatego kibice tak mu kibicują. Dziś nazwisko Adam Ćmiel to nie tylko pozycja w statystyce wyników. To symbol drogi – z małej miejscowości na największe tory, bez rozgłosu, za to z pokorą, ciężką pracą i odwagą do pokonywania przeszkód – dostojnie i w przemożeniu.



Wielka Pardubicka 2025



**NASZE
KLUBY**

KLUB MŁODYCH PRZY MK PZKO CIERLICKO

TEKST: BEATA INDITYRNA / ZDJĘCIA: BEATA INDITYRNA, ARCH. KLUBU

Przy Miejscowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Cierlicku działa Klub Młodych. Zrzesza jednak młodzież nie tylko z tego Koła, ale także z okolicznych cierlickich Kół PZKO. Z jego prezes, Alicją Włosok, rozmawiamy o reaktywacji grupy w 2021 roku, początkach w pięcioosobowym składzie, współpracy z innymi klubami młodych i o tym, jak comiesięczne spotkania stały się miejscem zabawy, pracy i wspierania lokalnych struktur PZKO.

Od kiedy istnieje Klub Młodych przy waszym kole?

Od roku 2021.

Wtedy założyliście czy reaktywowaliście Klub Młodych?

Moi rodzice chodzili kiedyś, gdy byli w tym wieku, do Klubu Młodych. Ale działalność Klubu chyba jakoś tak po ich pokoleniu zanikła. A teraz my powiedzieliśmy sobie, że moglibyśmy znowu Klub Młodych powołać do istnienia.

A więc przerwa w działalności Klubu trwała całe jedno pokolenie?

Tak, myślę, że tak.

Mówi pani „my”, czyli jakaś konkretna grupa młodzieży. Jak liczna, skąd się wywodząca?

Na początku nie było nas wielu. Było nas bodaj pięć osób. Ale później dość szybko pozbieraliśmy swoich kolegów i teraz nasz Klub liczy około 20 osób, więc całkiem, całkiem sporo.

W jakim wieku byliście, gdy reaktywowaliście Klub? Czy od razu po wstąpieniu do PZKO, w dziewiątej klasie wpadliście na ten pomysł?

My wszyscy pomagaliśmy naszym kołom PZKO Cierlicko-Centrum i Kościelec i tak sobie powiedzieliśmy, że chcielibyśmy jakoś nazwać tę naszą grupę, która ciągle

pomaga. Stwierdziliśmy, że moglibyśmy założyć Klub Młodych i że to się dobrze potoczy z tym, co i tak już robimy.

Byliśmy bardzo młodzi. Ja jeszcze nie mam 18 lat, jesteśmy sporo młodszy od innych Klubów Młodych. Ale myślę, że nas bardzo dobrze przyjmują. Mieliśmy już też okazję organizować z innymi Klubami Młodych różne wydarzenia.

Wasz Klub Młodych działa w Cierlicku. Ale w tej miejscowości jest kilka Kół PZKO. Czy wy zrzeszacie młodych ze wszystkich?

Tak. Zrzeszamy młodzież z tych wszystkich Kół PZKO, które spotykają się w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury.



A jeśli chodzi o współpracę z innymi kołami i klubami młodych. Na czym ona polega?

Mieliśmy już na przykład dwa Kluboturnieje z Klubem Młodych z Suchej Górnej.

Kluboturnieje to – o ile mi wiadomo – imprezy dla wszystkich Klubów Młodych, a takie mniejsze, wewnętrzne, indywidualne przedsięwzięcia?

Właśnie to – nasze mniejsze Kluboturnieje – organizowaliśmy z Suchą Górą i planujemy je dalej robić. Mieliśmy też wspólnego Sylwestra z Klubami Młodych z Błędowic i z Suchej Górnej.

Jako Klub Młodych Cierlicko macie regularne spotkania?

Spotykaliśmy się regularnie co miesiąc. Obecnie jednak Dom Polski jest w remoncie. Nie mamy więc żadnego miejsca, gdzie moglibyśmy się spotykać. W związku z tym tylko czasami umówimy się na wspólny wypad do kina, do teatru, albo na przykład na bowling. Nie mamy jednak regularnych spotkań, bo po prostu nie mamy gdzie się spotykać.

A więc brak regularności w działalności Klubu to sprawa przejściowa, wynika z remontu i braku miejsca?

Zdecydowanie tak.

A jak wyglądały wasze wcześniejsze regularne comiesięczne spotkania? Co na nich robiliście?

Bardzo dużo graliśmy w różne gry. Najważniejsze było to, że byliśmy razem. Jeste-

śmy z różnych szkół, więc spotkania Klubu Młodych stanowiły okazję do wspólnego spędzenia czasu. Zawsze mieliśmy jakiś temat spotkania i zawsze ktoś przygotował jakąś grę, jakiś program. Staraliśmy się, żeby każde spotkanie było trochę inne tematycznie. I to było fajne, myślę.

Na przykład tematem były bajki – każde spotkanie nawiązywało do innej. Albo mieliśmy wszyscy związane oczy i mieliśmy zgadywać, co jemy – to była jedna z gier. Przygotowywaliśmy wspólnie jakieś jedzenie na tym naszym spotkaniu. Było bardzo zabawnie, po prostu świetnie się bawiliśmy robiąc coś razem.

Wygląda na to, że stanowicie po prostu zgraną paczkę młodzieży, która dobrze się ze sobą czuje i chętnie spędza razem czas. Po co więc formalizować taką działalność i zakładać Klub Młodych ze strukturą i członkostwem?

Ja myślę, że jest to bardzo fajny sposób spędzania czasu z tymi, którzy nie są z nami w gimnazjum. Mamy bardzo dużo takich osób, które są gdzieś w Hawierzowie czy Karwinie w czeskich szkołach średnich. Gdyby nie Klub Młodych, to nie mielibyśmy za bardzo okazji się spotkać. A przez te nasze spotkania i czas, który razem spędzimy, możemy mieć bardzo dobre relacje. I jest to fajne.

Myślę też, że bardzo się to przydaje tym naszym Kołom, które wspieramy. Bo wszędzie pomagamy. Na przykład tradycyjnie wymyślamy i realizujemy program na bale w Cierlicku. Zawsze mamy przygotowany jakiś taniec. Myślę, że bardzo się to podoba, bo jesteśmy członkami różnych zespołów tanecznych, więc mamy podstawy taneczne i to się przydaje.

Występujemy też na przykład w Cierlicku przy okazji gminnych spotkań seniorów itp. Mamy takie programy. Jeden kolega śpiewa, my zawsze tańczymy. Widzimy, że ludziom bardzo się to podoba.

A jako formalny Klub Młodych nie tylko się spotykamy, ale mamy też regularny system i różne role do wykonania.

Tak więc z jednej strony leży wam na sercu kultywowanie działalności PZKO, a z drugiej działacie też dla lokalnej społeczności.

Przejdźmy do pani jako przewodniczącej. Skąd w ogóle zaangażowanie w działalność PZKO? Czy naturalne od dziecka?

Tak, ja do PZKO chodziłam od zawsze. Kiedy byłam mała, moja mama aktywnie działała w PZKO, sporo czasu była prezeską Koła Cierlicko-Centrum. Tata z kolei był i nadal jest prezesem KWMBLM (Klub Wspaniałych Mężczyzn bez Latających Maszyn). Tak więc rodzice mnie do PZKO od najmłodszych lat tak jakoś przyzwyczajali... Nie wiem, czy specjalnie, czy po prostu zabierali mnie ze sobą, bo sami chodzili, ale zawsze byłam związana z PZKO. Myślę, że mama bardzo dobrze prowadziła Koło. Były ciekawe wycieczki, spotkania. Byłam też na każdym zebraniu bardzo mi się to podobało. Dlatego pomyślałam, że będzie fajne, kiedy ja też coś takiego będę robić. Mam fajnych ludzi koło siebie, którzy mi pomagają. Myślę, że to jest bardzo dobre.

Funkcja prezeski wynikała naturalnie z rodzinnych tradycji?

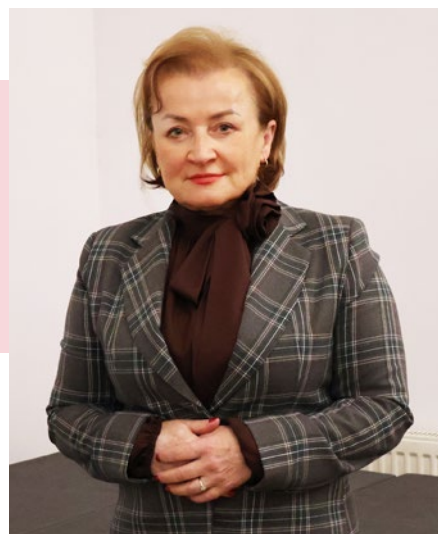
Kiedy postanowiliśmy założyć Klub Młodych, mieliśmy wybory i zostałam wybrana. Po prostu jakoś tak wyszło.



BARBARA WOJDA, NOWA PREZES EUROPEJSKIEJ UNII WSPÓLNOT POLONIJNYCH: POWINNIŚMY KULTYWOWAĆ NASZĄ DZIAŁALNOŚĆ POLONIJNĄ I DOCENIAĆ JEJ ZNACZENIE

TEKST I ZDJĘCIE: IZABELA ADÁMEK

Pod koniec listopada w Domu Polonii w Warszawie odbył się XII Zjazd Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych, podczas którego wyłoniono nowe władze organizacji. W wyniku głosowania prezesem została Barbara Wojda z Belgii. W wywiadzie opowiedziała nam o swoich celach i wizji na czas kadencji oraz o tym, co według niej jest najważniejsze w życiu Polonii.



Co dla pani oznacza wybór na stanowisko prezesa Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych?

Było to dla mnie pewnym zaskoczeniem, że akurat na mnie postawiono. Jednocześnie czuję ogromny zaszczyt, bo 27 osób głosowało na mnie, co pokazuje, że moja dotychczasowa praca, którą realizowałam na terenie Belgii, została wysoko oceniona przez naszych partnerów i stowarzyszenia działające w całej Europie.

Jak pani doświadczenie będzie przydatne w nowych obowiązkach?

Mam nadzieję, że moja 25-letnia działalność w Belgii, głównie w Polskiej Macierzy Szkolnej, która była bardzo aktywna w porównaniu do innych organizacji, przełoży się na moją aktywność na poziomie europejskim.

Czy ma pani już określone priorytety, które chciałaby zrealizować w trakcie kadencji?

Myślę, że warto wzmocnić nasze działania w Europie i pokazać, że organizacja nie

tylko istnieje, ale jest także wiarygodnym partnerem, nie tylko dla członków nawzajem, lecz także dla władz polskich. Chcemy przedstawiać nasze postulaty, bo trudno tu mówić o żądaniach, można postulować, ale nie żądać.

A jeśli chodzi o jakieś długoterminowe cele?

Wszystkie nasze cele są długoterminowe, bo żadnego z nich nie da się zrealizować w ciągu roku. Planujemy działania na przyszły rok, które później będziemy ulepszać, sprawdzając, co działa, a co wymaga poprawy. To proces, który wymaga czasu i konsekwencji.

Jakie konkretne działania ma pani na myśli?

Chcemy aktywizować młodzież, pokazać, jak wartościowa jest praca Polonii dla Polski. Ważne jest również pobudzenie polonijnych środowisk w każdym kraju, aby brały bardziej czynny udział w wyborach – nie tylko do polskiego Parlamentu, ale również w krajach zamieszkania, dzięki czemu Polonia mogłaby mieć większy głos.

Czyli odczuwa pani, że młodzież odgrywa ważną rolę w kontekście Polonii?

Młodzież jest niezwykle ważna. W Belgii aktywizujemy młodych od dłuższego czasu – od pięciu lat organizujemy zjazdy młodzieży polonijnej. W ostatnim roku przeprowadziliśmy „most pokoleń”, czyli debatę młodych z bardziej doświadczonymi działaczami. Uważam, że współpraca młodych z doświadczonymi liderami powinna być łącząca. Młodzież powinna wchodzić w struktury już istniejących organizacji, by odmłodzić grono działaczy polonijnych, a jednocześnie powinna być wspierana doświadczeniem starszych.

Życie polonijne niesie ze sobą wiele wyzwań. Jakie, pani zdaniem, są obecnie największe problemy, z którymi borykają się organizacje?

Starsze organizacje polonijne często zmagają się nie tyle z brakiem członków, co z brakiem ich aktywności. W niektórych

stowarzyszeniach działalność przygasta, choć nie jest wygaszona. Dlatego będziemy wspierać te organizacje, by ponownie pobudzić ich działaczy do aktywności na rzecz Polonii i Polski.

Obecnie znajdujemy się na II Światowym Zgromadzeniu Prezesów i Liderów Organizacji Polonijnych. Czy Pani zdaniem takie spotkania mają znaczenie dla budowania Polonii i wzajemnego wsparcia?

Tak, takie zjazdy są bardzo pomocne. Spotykają się tam liderzy Polonii – prezesi

lub osoby wytypowane przez organizacje aktywnie działające w każdym kraju. To doskonała okazja, aby wymienić doświadczenia, ustalić priorytety i zastanowić się, co jest najważniejsze dla Polonii w danym momencie, na każdym kontynencie.

Są jakieś konkretne wartości, które chciałaby Pani promować w ramach swojej działalności?

Przede wszystkim chciałabym, aby jak najwięcej dzieci uczyło się języka polskiego. Chcę, żebyśmy nie wstydzieli się naszego pokolenia i uświadamiali

młodzieży, że jako Polacy jesteśmy wartościowym narodem i cenną diasporą. Powinniśmy kultywować naszą działalność polonijną i doceniać jej znaczenie.

Co jest największą motywacją w pani pracy na tym stanowisku?

Pierwszy stres już minął. Spotkaliśmy się z nowym zarządem, ustaliliśmy priorytety i zabieramy się do pracy. Jak już wspomniałam, chcemy aktywizować, wspierać i być partnerem dla władz w Polsce.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

„DOŻYNKI W OBIEKTYWIE CZYTELNIKÓW”

Podczas sezonu dożynkowego ogłosiliśmy konkurs dla Czytelników naszego portalu na ciekawe zdjęcie z dożynek. Prezentujemy nagrodzone zdjęcia i gratulujemy zwycięzcom.



1. miejsce, foto: Agata Frolková



2. miejsce, foto: Agata Frolková



3. miejsce, foto: Ewa Sikora

MIĘDZY KRAKOWEM A ŚLĄSKIEM CIESZYŃSKIM



Z WIZYTĄ U WNUCZKI JANA RASZKI

Stali czytelnicy tej rubryki wiedzą, że rzadko musimy szukać tematów – zazwyczaj to Państwo sami dzielą się z nami pamiątkami, wspomnieniami i opowieściami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Czasem jednak bywa inaczej i temat trafia do nas nieco bardziej okreśną drogą.

Impulsem do powstania kolejnego tekstu z cyklu był telefon od znajomego – dobrze Państwu znanego Romana Wirtha z polskiej księgarni w Czeskim Cieszynie – który pół roku temu przypomniał mi, że 23 listopada tego roku minie osiemdziesiąta rocznica śmierci Jana Raszki (1871–1945) – urodzonego w Ropicy rzeźbiarza, medaliera i pedagoga. Zanotowałam tę datę i... na tym sprawa się zakończyła. W pamięci przemknęło mi jedynie, że ktoś kiedyś wspominał o potomkach Raszki mieszkających w Krakowie.

Do tematu wróciłam dopiero na początku listopada. Udało mi się wówczas szybko odnaleźć kontakt do Joanny Walaszek – wnuczki artysty. I tak oto, w jesiennej aurze, wybraliśmy się na wycieczkę do Krakowa – dokładnie tydzień przed rocznicą śmierci twórcy pomnika Cieszyńskiej Nike.

Wpisałam adres w nawigację, zerknęłam na zdjęcie dołączone do mapy i moim

oczom ukazała się modernistyczna kamienica z lat trzydziestych. Czy można wyobrazić sobie bardziej odpowiedni dla tej historii dom? Czy to możliwe, że potomkowie Jana Raszki wciąż mieszkają w budynku wzniesionym przez samego artystę. Odpowiedzi na te pytania mieliśmy poznać dopiero po dwóch godzinach jazdy. Wysiedliśmy przed domem ze zdjęcia na ulicy Zbrojów w dzielnicy Krowodrza. Nad dwuskrzydłowymi drzwiami domu pani Joanny, którą za chwilę mieliśmy poznać, dostrzegliśmy kolejną wskazówkę potwierdzającą nasze przypuszczenia: płaskorzeźbę przedstawiającą dawnych mieszkańców domu – rzeźbiarza przy pracy, pochyloną kobiecą sylwetkę oraz twarze dwojga dzie-

ci, jak się później okazało: żony i córki Jana Raszki.

Patrząc na tę kompozycję, trudno było oprzeć się wrażeniu, że właśnie otrzymaliśmy pierwszą odpowiedź na pytanie, które towarzyszyło nam w drodze do Krakowa. Wszystkie wskazywało na to, że dom rzeczywiście wybudował Raszka. A skoro już na progu natrafiliśmy na tak wymowny znak, tym bardziej rosta ciekawość, jakie jeszcze historie odsoni się przed nami, gdy tylko przekroczymy jego próg. I rzeczywiście – zaraz po wejściu okazało się, że to dopiero początek naszej podróży śladami artysty.

Po przekroczeniu progu naszym oczom ukazała się okazała sień wjazdowa – jak



▲ Płaskorzeźba nad wejściem informująca o właścicielu domu i jego rodzinie, 1932.

◀ Joanna Walaszek

► Dom Jana Raszki w Krakowie.

wyjaśniła nam później pani Joanna, zaprojektowana specjalnie tak, aby można było wygodnie wywozić wielkogabarytowe rzeźby. Kątem oka dostrzegliśmy jeszcze wyeksponowane na jej ścianach gipsowe modele płaskorzeźb – wiadomo czyjego autorstwa – a z korytarza zerknęliśmy także na niewielki murowany domek stojący w ogrodzie, dawną pracownię artysty.

Na pierwszym piętrze przywitała nas drobna, energiczna pani Joanna, która od progu wyjaśniła, że dom wybudował jej dziadek – i że w gruncie rzeczy cała kamienica jest jedną wielką pamiątką rodzinną.

Po przełamaniu pierwszych lodów rozsiedliśmy się w fotelach w pokoju pełnym pamiątek, rzeźb i książek. Pani Joanna rozpoczęła więc swoją opowieść od historii domu.

– Pod koniec lat dwudziestych dziadek miał mnóstwo zamówień, a co za tym szło – trochę pieniędzy. Bardzo zależało mu na pracowni poza miastem. Trudno w to dziś uwierzyć, ale ta dzielnica rzeczywiście znajdowała się wtedy poza granicami Krakowa

– śmieje się pani Joanna. Na terenie, na którym stoi dom, kiedyś funkcjonowało ogrodnictwo prowadzone przez rodzinę Zbrojów – stąd wzięta się ta nieoczywista nazwa ulicy. Dziadek mógł wybudować pracownię, pod warunkiem że wzdłuż ulicy powstanie czynszówka. I tak właśnie stanęła ta kamienica, zaprojektowana przez krakowskiego architekta Ludwika Wojtyczkę (Wojtyczko) znanego z licznych modernistycznych budowli w Krakowie.

Pracownia stanęła w ogrodzie, był to niewielki budynek, jasny, z dużymi oknami, zaprojektowany specjalnie z myślą o dużych rzeźbach. To właśnie tam powstawały między innymi figury *Górników* i *Hutników*, które przed wojną stały przed Akademią Górniczo-Hutniczą. Dziś przed uczelnią znajdują się ich rekonstrukcje, choć – jak zauważa pani Joanna – niezbyt udane.

Na drugim piętrze mieszkał niegdyś sam Jan Raszka z żoną i dwiema córkami – Danusią i Hanusią (przyszłą matką mojej rozmówczyni). Dziś mieszkanie zajmuje wnuczka pani Joanna wraz z rodziną – trzecie i czwarte pokolenie artysty.

Mniejsze mieszkania na niższych kondygnacjach pierwotnie miały być przeznaczone dla siostr. Plany przerwała wojna i późniejsza komunistyczna rzeczywistość. Ciocia, Danuta Bielecka, siostra mamy pani Joanny, zamieszkała w jednym z mieszkań, lecz pozostała część budynku została jej odebrana. W tym czasie przez dom przewinęły się różne obce osoby, a nawet – jak wspomina z goryczą – funkcjonowała tu melina. Rodzina została też zmuszona oddać budynek pracowni Związkowi Plastyków, który zakwaterował tam rzeźbiarza. Niestety, nowy lokator doprowadził pracownię do stanu głębokiego upadku, co dla cioci było szczególnie bolesne.

Dopiero w latach 90. rodzinie udało się rozpocząć proces odzyskiwania budynku i przywracania go do dawnego stanu. Budynek pracowni był w ruinie. Rozważano nawet jego rozbiórkę, lecz ostatecznie



Sień wjazdowa z ekspozycją prac artysty.

bardziej opłacało się go odbudować. Z pracowni ocalało niewiele – część rzeźb udało się uratować, między innymi te, które widzieliśmy w sieni, stworzone dla Sejmu Śląskiego. Na strychu znajdują się też gipsowe prace dziadka, które ów powojenny lokator wyrzucił z pracowni. Rzeźbiarz lokator zniszczył również drewnianą konstrukcję służącą do rzeźbienia na różnych poziomach. Dziś w odnowionej pracowni znajduje się wygodne mieszkanie.

Stopniowe remonty czynszówki i pracowni trwały latami, by budynki odzyskały swój dawny blask. Dziś część mieszkań jest wynajmowana, część zajmuje rodzina. Pani Joanna mówi o tym ze spokojem i dumą – po dziesięcioleciach trudnych historii kamienica znów jest zadbana i pełna życia. Remonty trwały długo, ale wysiłek nie poszedł na marne.

Pani Joanna nie spędziła w tym domu dzieciństwa. Jej rodzina na wiele lat wyprowadziła się do Gdańska, choć niemal każde święta spędzali w Krakowie i często przyjeżdżali tu na wakacje. Podczas studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim zamieszkała u cioci – po rozwodzie ciocia mieszkała sama, zmarła też już wtedy babcia. Po studiach pani Joanna pozostała w Krakowie, najpierw w Nowej Hucie, a gdy rodzinie udało się odzyskać mieszkanie, wróciła do rodzinnego domu swojej matki i zamieszkała blisko cioci wraz z własną rodziną.

Moja rozmówczyni niestety nie może pamiętać swojego dziadka, ponieważ urodziła się już po jego śmierci. – *Babcia była*



Przebudowana pracownia Jana Raszki – dziś znajduje się w niej mieszkanie.



W domu Jana Raszki – z lewej Joanna Walaszek, z prawej Roman Wirth.

jego drugą żonę. Z pierwszą żoną dziadek nie miał dzieci. Ale tak poza tym nic o niej nie wiem. Między babcią a dziadkiem była bardzo duża różnica wieku, a dziewczynki urodziły się, gdy dziadek miał około pięćdziesiątki – wyjaśnia.

Pani Joanna na moment znika w pokoju obok i wraca z niewielkim pakunkiem. – Myślałam o tym, co mogłabym państwu pokazać – mówi. – Niedawno znalazłam ten malutki pakietek. Wiedziałam, że leży w naszej skrzyni-archiwum na strychu, ale nie miałam czasu, żeby go przeglądać. To listy narzeczeńskie Jana Raszki i Janiny Zand z 1917 roku. Nie sądzę, żebym mogła je państwu pokazać – dodaje z uśmiechem. – Musicie mi uwierzyć na słowo.

– Historia jest wzruszająca – opowiada dalej – między nimi było ponad 25 lat różnicy. Dziadek miał ogromne wątpliwości, czy może się z nią ożenić: był przecież rozwodnikiem, starszym mężczyzną, ewangelikiem, artystą niepewnym przyszłości, a ona była córką dyrektora banku, pochodziła z niepraktykującej, zasymilowanej rodziny żydowskiej. Ona była jednak gotowa na wszystko. Zakochana, absolutnie mu oddana i pełna dla niego podziwu. Te listy są pełne czułości, miłości i namiętności. Podejrzewam, że już w tym czasie byli kochankami.

Korespondencja pochodzi z różnych miast – Łodzi, Warszawy, Krakowa. Nie zawsze da się ustalić dokładnie, skąd pisano, bo nie wpisywali miejsca nadania; jedynie treść pozwalała domyślić się pochodzenia listu. Część listów jest napisana po niemiecku –

Janina świetnie знаła ten język, studiowała sztukę w Monachium, a dziadek władał niemieckim od czasów szkolnych. Podobno listy pisane po niemiecku szybciej dochodziły do adresata. Trwała wojna – on był rzeźbiarzem i archiwistą w Legionach, ona była sanitariuszką w Polskiej Organizacji Wojskowej (POW).

– Z takich czułych rzeczy, mamy jeszcze obrazki związane z dzieciństwem mojej mamy i cioteczki.

Pani Joanna zaprasza nas do pokoju obok, by pokazać wiszące na ścianie plakietki

odlane w brązie przedstawiające karmiącą babcię Janinę oraz dziewczynki: Hanusię i Danusię. Skoro już wstaliśmy z wygodnych foteli, gospodyni robi nam małą ekskursję po domu. Oglądamy obraz olejny z wczesnego okresu artysty, przedstawiający parę narzeczonych w strojach Jacków Jabłonkowskich w murowanym domu – dzieło będące jednocześnie cennym materiałem ikonograficznym do badania strojów ludowych Śląska Cieszyńskiego. Kolejne prace pokazują pejzaż z Łomnej, gdzie artysta spędzał wakacje w młodości, oraz parę innych dzieł – w tym ulubioną rzeźbę pani



Obraz olejny z wczesnego okresu artysty przedstawiający parę w strojach Jacków Jabłonkowskich, około 1900.



Listy narzeczeńskie Jana Raszki i Janiny Zand z 1917 roku.



Kartka ze szkicownika, Łomna, 1918.

Joanny, figurkę skaczącej do wody dziewczynki, zwaną „Żabką”, odlaną w brązie.

Na koniec siadamy i przeglądamy albumy – jest ich całe mnóstwo. Wśród zdjęć jest jedno z 1939 roku z Ustronia, na którym Raszka pozuje ze swoimi córkami w strojach cieszyńskich. Oglądamy też fotografie dziadka w garniturze – najstarsze jego zdjęcie, jakie posiada pani Joanna w swoim albumie. Są również zdjęcia rodziców Jana Raszki – Jana Raszki seniora i matki Marii z domu Kisza – oraz zdjęcie Jana Raszki w mundurze legionisty.

– Dziadek, mimo że całe dorosłe życie spędził w Krakowie, bez wątpienia darzył sentymentem Śląsk – mówi pani Joanna. – W swoich wspomnieniach poświęca wiele miejsca krainie lat dziecięcych. Babcia nawet kiedyś skompletowała strój cieszyński i nosiła go od święta. Ten sentyment przeszedł również na rodzinę, choć strój niestety się nie zachował.

– Dziadkowie spędzali wakacje w Ustroniu. Babcia z dziewczynkami i Ludwisią, czyli gosposią, zostawały tam przez całe lato, a dziadek dojeżdżał, gdy tylko mógł. Ja sama również bardzo lubię Ustroń. Jako dziecko bywałam tam często, potem miałam przerwę, bo mieszkaliśmy w Gdańsku. Dwa-trzy lata temu odwiedziliśmy z mężem Dom Pracy Twórczej w Ustroniu i bardzo nam się podobało. Wtedy na nowo zaprzyjaźniłam się ze Śląskiem Cieszyńskim, choć Zaolzia niestety nie znam – dodaje.

Oprócz zdjęć rodzinnych oglądamy fotografie ze studentami, z pracowni, z rzeźbami oraz dokumentujące projekty pomników i ich realizacje: *Górników i Hutników* przed AGH, tzw. *Cieszyńską Nike (Pomnik Legionistom Ślązacom poległym za Polskę)*, *Mieszka I*, *Pomnik Powstańców i Legionistów Śląskich* (tzw. pomnik Wolności) w Czecho-

wicach-Dziedzicach, *Czwórkę Legionistów* w Kielcach także pomnik ku czci poległych w obronie Śląska Cieszyńskiego w latach 1918–1920 w Skoczowie. Albumy te stanowią prawdziwą kopalnię wiedzy o twórczości artysty. Niestety, mimo że były zawsze dostępne, artyści rekonstruujący jego pomniki nie zawsze z nich korzystali.



Miniatury medali Jana Raszki – pierwszy z lewej medal Francuskiej Legii Honorowej, przyznany w 1925 roku w Paryżu.



Rzeźba „Macierzyństwo”, I. 20. XX w.



Rzeźba ceramiczna inspirowana słowiańskim folklorem, ok. 1920.

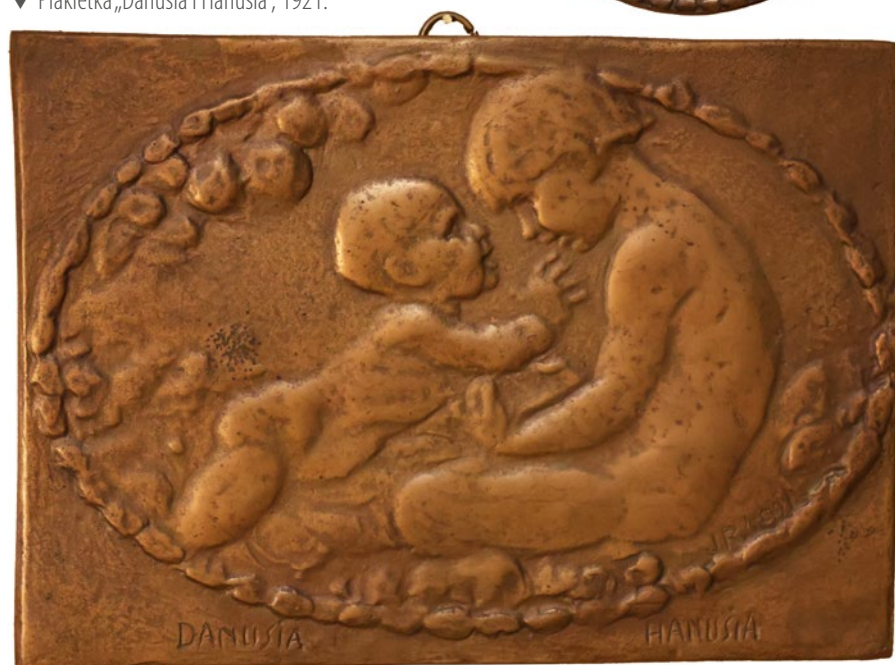
– Kilka rekonstrukcji pomników dziadka pozostawia wiele do życzenia – zauważa pani Joanna. – Na przykład rzeźby „Górników” i „Hutników” przed AGH jedynie nawiązują do jego projektu, a realizacja pomnika „Józefa Piłsudskiego na koniu” w Lublinie, moim zdaniem, również jest mało udana. Wyjątkiem jest Cieszyńska Nike stojąca przed Zamkiem w Cieszynie. Wprowadzono tam pewne zmiany w postumen-

▶ Plakietka „Janina karmiąca córkę”, I. 20. XX w.

▼ Plakietka „Danusia i Hanusia”, 1921.



Miniatura medalu autorstwa Jana Raszki z okazji 1100. rocznicy założenia Cieszyna, 1910.





Jan Raszka podczas pracy nad rzeźbami Górników, I. 30. XX wieku.



Praca nad Cieszyńską Nike, I. 30 XX wieku.

cie, ale całość została wykonana naprawdę dobrze – to dzieło profesora Jana Hermy.

Pokłosiem wzniesienia na nowo *Cieszyńskiej Nike* w 2005 roku było wydanie „Pamiętników artysty rzeźbiarza”. – *Babcia w czasie drugiej wojny podsunęła dziadkowi pomysł spisania wspomnień – opowiada pani Joanna. – Był już starszym, schorowanym człowiekiem, cierpiącym na reumatoidalne zapalenie stawów, co dla rzeźbiarza było szczególnie trudne. Nie mógł już pracować, a babcia chciała, żeby miał jakieś sensowne zajęcie na emeryturze. Dziadek pisał te pamiętniki ręcznie, niestety oryginały nie przetrwały. Szkoda, bo chętnie bym je porównała.*

– *Do wydania „Pamiętników artysty rzeźbiarza” doprowadziła moja ciocia. Przy tym procesie byłam obecna – pomagałam w redakcji tekstu. Ciocia zrobiła dużo ciekawych przypisów, a ja je skróciłam, bo wtedy uważałam, że ze względów redakcyjnych tak będzie lepiej, teraz już wiem, że to był błąd. Te przypisy to była kopalnia wiedzy – mówi z żalem.*

Pani Joanna wyciąga również jeden z zachowanych w zbiorach rodzinnych medali – reszta została przekazana do Muzeum Narodowego we Wrocławiu i Krakowie. Babcia Janina bardzo dbała o spuściznę dziadka – przekazała około trzystu eksponatów do muzeum, w tym modele rzeźb,



Model pomnika Mieszką I.

między innymi model *Cieszyńskiej Nike*. Dzięki czemu można było ją tak dobrze zrekonstruować.

– *Z medali zachowała się w domu miniatura wybita z okazji 1100. rocznicy założenia Cieszyna z 1910 roku. Jest w bardzo złym stanie, dlatego nie trafiła do muzeum, podczas gdy pełnowymiarowy medal został zachowany i przekazany. Mam też kilka innych miniatur medali, które z kolei mój dziadek otrzymał. Tutaj jest medal Francuskiej Legii Honorowej, przyznany mu w 1925 roku w Paryżu na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Stosowanych za wystawę Państwowej Szkoły Przemysłu Artystycznego, której zresztą był inicjatorem i dyrektorem.*

– *Myślę, że działalność dziadka w dziedzinie sztuk stosowanych i w szkolnictwie była niezwykle istotna – mówi pani Joanna, wskazując na wazon utrzymany w jasnej kolorystyce, stojący na biurku. – Został wykonany przez uczniów dziadka i ma spokojnie sto lat. W kuchni znajdują się również talerze wykonane przez uczniów szkoły, które także traktuję jako cenne pamiątki rodzinne – mówi bez cienia wątpliwości.*

Czy dziadek był obecny w pamięci rodziny? – *No tak, oczywiście. Ciągłe wyrastaliśmy wśród jego rzeźb i obrazów – tu w Krakowie, a nawet w Gdańsku. Gdy byłam starsza,*



Legionista.



Artysta w pracowni.

Raszka Jan Florian (1871–1945)

– polski rzeźbiarz i medalier, malarz, pedagog, związany szczególnie z Krakowem i Śląskiem Cieszyńskim.

Życiorys. Urodzony 2 maja 1871 roku w Ropicy koło Cieszyna (Śląsk Cieszyński, obecnie Czechy). Pochodził z rodziny chłopskiej; był synem Jana, rolnika i droźnika kolejowego, oraz Marii z domu Kisa. Dwukrotnie żonaty: z Władysławą z Jeziorskich (1905–1916), a od 1917 roku z Janiną z Zandów. Zmarł 23 listopada 1945 roku w Krakowie. Został pochowany na cmentarzu Rakowieckim.

Edukacja i działalność artystyczna. W latach 1892–1899 studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, początkowo malarstwo, a od 1897 roku rzeźbę; w tym czasie rozwijał także umiejętności medalierstwa. Już jako student zdobywał nagrody – m.in. pierwszą nagrodę zakładu metalowego Artura Kruppa (1899) – oraz realizował zamówienia dla dworu Habsburgów. Od 1902 roku mieszkał i pracował w Krakowie, biorąc udział w pracach restauracyjnych na Wawelu i prowadząc zajęcia z rysunku oraz rzeźby na Wydziale Artystycznym Państwowej Szkoły Przemysłowej (od 1927 roku przekształconej w Państwową Szkołę Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego). W 1914 roku jako ochotnik wstąpił w Cieszynie do Legionu Śląskiego, następnie Legionów Polskich, gdzie pełnił m.in. funkcję rzeźbiarza wojennego. Po wojnie wrócił do PSSZiPA, gdzie w latach 1922–1931 (do emerytury) pełnił funkcję dyrektora.

Twórczość. Szczególne miejsce w dorobku Raszki zajmuje rzeźba legionowa, powstała w okresie I wojny światowej i bezpośrednio po niej. Do najważniejszych dzieł należą: *Czwórka* (1917), której monumentalna realizacja została odstonięta w 1938 roku jako Pomnik Czynu Legionowego w Kielcach (rekonstrukcja 1991); *Cieszyńska Nike*, czyli pomnik ku czci Legionistów Śląskich poległych za Polskę (1934; zniszczony w 1939, zrekonstruowany w 2005); oraz *Pomnik Wolności* w Czechowicach-Dziedzicach (1924; zniszczony w 1939, zrekonstruowany w 2018). W zakresie rzeźby pomnikowej i architektonicznej jest autorem m.in. pomnika Ignacego Łukasiewicza w Krośnie (1932), pomnika księcia Mieszka I w Cieszynie (1931), posągów *Górnicy i Hutnicy* przed AGH w Krakowie (1935), a także dekoracji rzeźbiarskich gmachów Sejmu Śląskiego w Katowicach, Sądu w Łodzi oraz Domu Techników w Krakowie. Jako medalier uchodzi za jednego z najwybitniejszych twórców polskich; wykonał setki medali i plakiet historycznych, portretowych i okolicznościowych (m.in. medal grunwaldzki 1910, medale niepodległościowe) i brał udział w konkursach na projekty monet.

Działalność społeczna i wyróżnienia. Był aktywnym członkiem licznych stowarzyszeń artystycznych. Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Legii Honorowej (1926), Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1929) oraz Medalem Niepodległości (1933).

Bibliografia. *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających (zmarłych przed 1966 r.). Malarze, rzeźbiarze, graficy*, t. VIII (Pó–Ri), 2007.

zaczęłam się tym bardziej interesować, ale niestety nie tak bardzo, jak powinnam. Niestety młodzi ludzie są mało zainteresowani przeszłością – mówi pani Joanna.

W „spadku” po dziadku rodzina pani Joanny otrzymała nie tylko pamiątki i wspomnienia, ale też ewangelickie wyznanie. Sama została wychowana w rodzinie ewangelickiej, jej córka, po mężu, już w katolickiej, ale w dorosłym życiu zdecydowała, że chce przejść na luteranizm, podobnie zięć. – *Ich dzieci są już wychowywane w parafii ewangelicko-augsburskiej w Krakowie. Antos, starszy wnuk, był już nawet trzy razy finalistą konkursu Sola Scriptura, więc on w ogóle jest najbardziej wykształcony w rodzinie – mówi z dumą pani Joanna – To jest w sumie niezwykła historia, że prawie cała rodzina powróciła do cieszyńskich korzeni, tylko mój mąż pozostał katolikiem.*

Nasze spotkanie dobiega końca. Z kuchni dochodzą odgłosy przygotowywanego obiadu. W drzwiach pojawia się wnuk Antoni, wita się z nami, po czym znika, podążając za aromatem niedzielnej kolacji. Nie chcąc przeszkadzać, zbieramy nasze rzeczy i żegnamy się z panią Joanną, pełni wrażeń.

Na koniec zapraszamy panią Joannę na Śląsk Cieszyński – kusząc wycieczką śladami jej dziadka. Wychodząc, zatrzymujemy się jeszcze przy płaskorzeźbach Raszki w sieni wjazdowej. Na jednej z nich widać zarysy kopalń, huty trzynieckiej i Beskidów – wydaje nam się, że to Jaworowy i Ostry. Czy tak naprawdę jest, czy to tylko miraż wyobraźni? Tego już chyba się nie dowiemy – czy Raszka, rzeźbiąc alegoryczne płaskorzeźby do Sejmu Śląskiego, odtworzał obrazy swojej małej ojczyzny, czy może to my, patrząc, chcieliśmy zobaczyć zarysy tych *kopieczków*, które codziennie cieszą nasze oczy.



Jan Raszka (trzeci z prawej, w polskim mundurze) z uczniami, 1917.



Maria Raszka z domu Kiska (matka).



Jan Raszka (ojciec).



Jan Raszka z córkami: Hanusią (z lewej) i Danusią (z prawej), okres międzywojenny.



Janina Raszka z córkami, okres międzywojenny.



GÓRALSKA SZOPKA W MOSTACH KOŁO JABŁONKOWA ŚWIĘTUJE TRZYDZIESTOLECIE

TEKST: IZABELA WACŁAWKOVÁ / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK

W kościele parafialnym świętej Jadwigi w Mostach koło Jabłonkowa co roku na święta Bożego Narodzenia wystawiana jest góralська szopka. To nie tylko świąteczna dekoracja, lecz także małe dzieło sztuki, od trzydziestu lat tworzone ręką miejscowego rzeźbiarza Pawła Kufy.

GÓRALSKA SZOPKA NA ŚWIATOWYM POZIOMIE

Pierwszym impulsem do stworzenia własnej szopki była pielgrzymka do Izraela, podczas której Paweł Kufa zobaczył stajenki betlejemskie niemal całego świata. Wtedy postanowił, że i on wykona taką, którą będzie można pokazać światu, utrzymaną jednak w „naszym”, góralskim stylu.

Pracę rozpoczął w 1990 roku, a w kolejnym roku szopka stanęła w kościele świętej Jadwigi w Mostach koło Jabłonkowa. Stodołę i szatas wykonał z drewna świerkowego, a rzeźby z lipy. Charakterystyczne dla szopki jest to, że ukazuje dawne życie mieszkańców Mostów koło Jabłonkowa.





– Jedna z mam, znajoma mojego kolegi, powiedziała mi kiedyś: „Pawle, popłakałam się przy tej szopce, bo przypominałam sobie, jak kiedyś przeżyaliśmy święta w naszej drewnianej chatce.” – wspomina Paweł Kufa reakcje ludzi, gdy stajenka betlejemka po raz pierwszy została wystawiona trzydzieści lat temu w kościele.

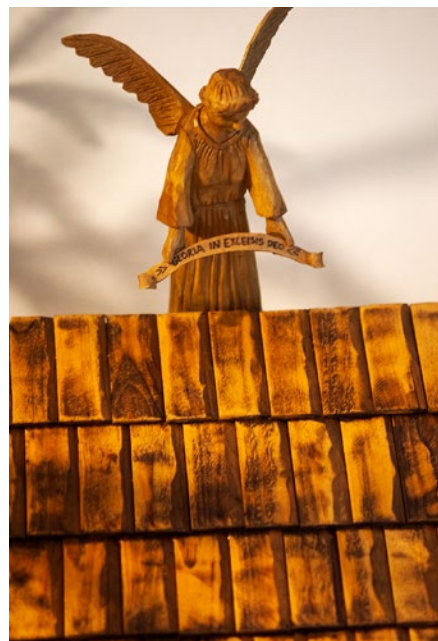
W szopce zobaczyć można kapełę, gospodarzy wędrujących do Betlejem, a nawet muzyka, który się spóźnił i biegnie za resztą. W żłobie leży mały Jezus, obok czuwają Maria i Józef. Cały układ figur tworzy opowieść. Grają muzycanci, nad-

chodzą Trzej Królowie, a na łące pasą się owieczki.

– Często słyszałem, że owieczkom odpadają nogi. Podczas przenoszenia szopki również łatwo się łamały i musiałem je ciągle naprawiać. Wiele stajenek betlejemskich wykonywałem także dla rodzin, a gdy dzieci się nimi bawiły, figurki szybko ulegały zniszczeniu. Dlatego zacząłem montować owieczkom nogi inaczej, wywiercam otwór i mocuję je tak, aby były bardziej elastyczne i odporne na uszkodzenia. – wyjaśnia Paweł Kufa w swojej pracowni.

DZIŚ MOSTY KOŁO JABŁONKOWA ZDOBI ALEJA STU LIP

Nieodłącznym elementem szopki są świerki ustawiane tuż obok niej. Co roku sam Paweł Kufa przynosi je z lasu, podkreślając w ten sposób, że szopka symbolicznie „wyrasta” z góralskiej ziemi. Gdy praca stopniowo wypełniała się kolejnymi drewnianymi rzezbami, artysta zdecydo-





nich scen, całych historii opowiedzianych w drewnie.

– Paweł odszedł od tematyki czysto ludowej i zaczął tworzyć sceny pasterskie, tak charakterystyczne dla naszego regionu. Sięgnął również po tematykę sakralną, która bardzo dobrze mu wychodzi, cechy świętych w jego rzeźbach są łatwo rozpoznawalne. Podobnie w pracach o tematyce ludowej wszyscy od razu wiedzą, o kogo chodzi. Ludzie często rozpoznają w nich konkretne osoby i mówią: „to przecież Andrzej”, „to Marek”, „to muzykanci z Mostów”. To rozpoznawalność, która na stałe wpisała się w jego twórczość. – opowiada Niedoba.

wał, że zacznie sadzić lipy. Dziś w Mostach koło Jabłonkowa ciągnie się aleja stu lip, a tuż przed nią stoi wyrzeźbiona przez niego kapliczka.

– Kiedy skończyłem siedemdziesiąt lat, postawiłem tam kapliczkę. Mam na imię Paweł, ale przy bierzmowaniu otrzymałem imię Piotr, więc wyrzeźbiłem kapliczkę z figurami świętych Piotra i Pawła. – opowiada rzeźbiarz.

ROZPOZNAWALNE RĘKODZIEŁA, KTÓRE OPOWIADAJĄ HISTORIE

Paweł Kufa pracuje w drewnie od kilkunastu lat. Przed jego domem stoją rzeźby w naturalnej wielkości, a w pracowni, oprócz figur ustawionych na stołach, wiszą także drewniane obrazy.

– Znam Pawła Kufę od bardzo dawna. Jest on z Mostów koło Jabłonkowa tak samo jak ja. Pamiętam, jak kiedyś przyniósł do mnie matkę, wyrzeźbioną figurkę. Powiedziałem mu wtedy: Pawle, przedstawię cię Bronkowi Procnierowi z Łomnej, na pewno się dogadacie. Bronek miał już wtedy dobrą rękę do rzeźbienia, bo tworzył swoje beskidziotki – wspomina początki twórczości Pawła Kufy Andrzej Niedoba, prezes MK PZKO w Mostach koło Jabłonkowa.

Tak zaczęła się jego droga artystyczna. Na początku rzeźbiarz tworzył statyczne figurki, takie jak dobrze znana para górala i góralki. Z czasem jego prace stały się rozpoznawalne. W twarzach rzeźb pojawiły się charakterystyczne, ostre rysy ludzi z gór. W pewnym momencie artysta przeszedł od pojedynczych postaci do tworzenia pełnych, dynamicz-



SZOPKA JUŻ CZEKA NA ODWIEDZAJĄCYCH W KOŚCIELE

Dziś żłobek, który obchodzi trzydziestolecie, można zobaczyć w kościele świętej Jadwigi w Mostach koło Jabłonkowa.

– Zawsze, gdy człowiek przychodzi do tej szopki, patrzy na Dzieciątko Jezus, Maryję i Józefa, a Trzej Królowie przypominają nam, że Pan Jezus przychodzi do wszystkich narodów. To zawsze radosna chwila w ciągu roku liturgicznego. – podkreśla ks. Štěpán Kloczek, proboszcz parafii.

Szopka jest ozdobą, która przyciąga do kościoła także osoby niewierzące. Ta góralka będzie dostępna dla wszystkich chętnych przez cały okres Bożego Narodzenia aż do święta Matki Bożej Gromnicznej.



EPILOG ŻYCIA ZBIGNIEWA HERBERTA

TEKST: RENATA PUTZLACHER

Epilog burzy, dziewiąty i ostatni zbiór wierszy Herberta, ukazał się w maju 1998 roku, niecałe trzy miesiące przed śmiercią poety. Na okładce widzimy reprodukcję *Burzy* Giorgionego, którą wybrał sam autor. Prof. Małgorzata Mikołajczak wspominała po latach w audycji Polskiego Radia, zatytułowanej *W te dni przedostatnie*, że burza była żywiołem poety. Herbert mówił, że bez niej świat jest nieprawdziwy, bo przecież nasze życie jest pełne różnych konfliktów i burz. Miał też na myśli poetów tworzących w tzw. bloku wschodnim, „w strefie burz”, gdzie często pokój i spokój nie było.

W grudniu 1993 roku Herbert pisał w liście do Leszka Elektorowicza:

Któż by pomyślał, znów mamy oto Boże Narodzenie, Nowy Rok i komunistów u steru i żłobu, a brak nam ducha Czecherńców. Ale sprawiliśmy sobie z Kasią kota (chłopiec), nazwałem go Szu-szu. Właśnie strącił wazon i gdzieś się schował, potem wyjdzie, i będzie zawodził na wiele głosów. Zupełnie nie interesuje się polityką, gardzi literaturą, kiedy siadam do pisania, wydziera mi papier.

Jego listy zawsze były pełne uroku, dowcipu i autoironii. Przyjaciele wspominali, że poeta uciekał od polskich spraw, od atmosfery, w której był przygaszony i spięty, za granicę. W 1994 roku na zaproszenie gazety „NRC Handelsblad” poleciał samolotem do Holandii. Była to jego ostatnia podróż

zagraniczna. Z Amsterdamu wysłał żartobliwą kartkę do swojego ukochanego kota:

Mój zacny Szu-szu, przesyłam Tobie i Pani Kasi serdeczne pozdrowienia z Amsterdamu. Jak się czujesz i co u Ciebie słychać? Upoważniam Cię uroczysto do tego, żebyś nie był posłuszny, pokorny jak pies i w ogóle grzeczny. Jeśli masz ochotę rozbić np. lampę to zrób to bez namysłu – tubudu! To znacznie lepiej niż potem włóczyć się całe życie po durnych psychoanalitikach i cierpieć na zahamowania i kompleksy. A ja stęskniłem się za Tobą! Więc całuję Twoją główkę i ściskam łapki. Cześć! Twój Zbigniew.

Opiekuńcza i serdeczna żona poety Katarzyna wspominała, że kot Szu-szu zawsze towarzyszył mu w trakcie pisania i umiał trudne chwile. Trzymali koty, choć nie było to wskazane przy ciężkiej astmie oskrzeliowej ich miłośnika, której nie potrafiono leczyć. Kłopoty Herberta z oddychaniem nasilały się i w końcu niezbędna stała się tracheotomia, po której zainstalowano mu w tchawicy rurkę. Przyjaciele wspominali, że podczas ich wizyt wstawał, ubierał się, wyjmował z gardła rurkę i „natleniał się”, żeby choć trochę porozmawiać, mimo że z coraz większym trudem. O swojej żonie mówił, że „w czasie jego długiej niemocy objęła resort spraw zagranicznych i finansów”, dawkowała też wizyty znajomych, przepuszczając tylko najważniejsze osoby.

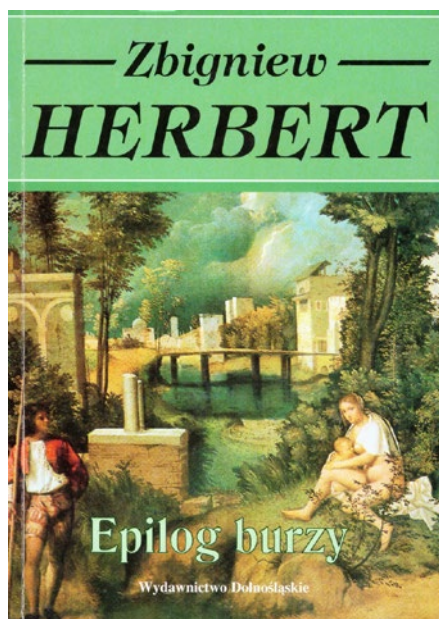
Odwiedzający go Marek Nowakowski uważał, że nawracające epizody depresyjne (dziś wiemy, że Herbert przez ponad 30 lat zmagał się z chorobą afektywną dwubiegunową, odziedziczoną po matce) były też jego ucieczką, chęcią wyłączenia się.



Wspominał ataki środowiska, które miało mu za złe opublikowany w *Hańbie domowej* Jacka Trznadla osąd kolegów wspierających stalinizm.

Choć Zbyszek zawsze twardo stąpał po ziemi, interesował się sprawami publicznymi, wypowiadał głośno zgodnie ze swoim sumieniem, uznano, że bierze się do czegoś, na czym się nie zna! Miał być przecież subtelny, wyrafinowany śródziemnomorskim poetą, klasykiem od Akropolu, Minotaura i Krety, antycznych bogów. Miał szymbować wysoko, a nie zniżać się do mazowieckiej ziemi. Po konflikcie z noblistą Miłoszem szyto mu też surdut kolejny – zawistnika, który spierał się z nim z zazdrości o jego sławę, zaszczyty i sukcesy.

Herbert próbował wyrwać się z domu, ze szpitalnego łóżka. Gdy pragnął obejrzeć wystawę Caravaggia w Narodowym i nie chciał być oglądany na inwalidzkim wózku przez tłumy zwiedzających, dyrektor mu-



zeum przesunął godziny otwarcia, by poeta mógł samotnie rozkoszować się płótnami jednego ze swoich mistrzów.

* * *

Opublikowany w *Epilogu burzy* wiersz *Brewniarz* składa się z czterech modlitw, bezpośrednio zwróconych do Boga. Poeta dziękuje mu za „cały ten kram życia” i w czwartej modlitwie pisze: „dni moje są policzone”, „nie zdążę już”, wiedząc, że nie zdąży „zadośćuczynić skrzywdzonym”. Poetka Julia Hartwig pięknie opisała tamte trudne chwile w swoim *Pakiecie listów*:

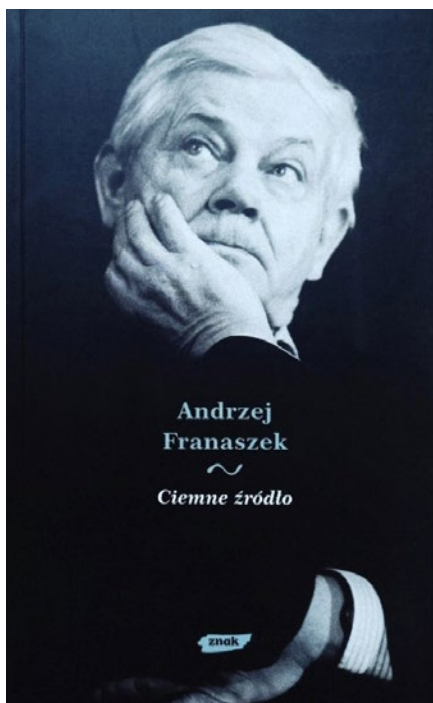
Może było Mu pociechą – jeśli w cierpieniach choroby coś z zewnątrz pociechą być może – że w ostatnich latach wszystkie Jego książki poetyckie były osiągalne w księgarniach i tapczywie rozchwytywane i że towarzyszyła im eksplozja rozpraw poświęconych Jego twórczości. Był to okres, kiedy Herbert zagórował poetycko, osiągnął jak gdyby zenit swojej sławy. „Epilog burzy” ukazał się w chwili, kiedy nikt nie spodziewał się już nowych utworów po tak srogo doświadczonym chorobą poecie. Tomik ten zadziwiał nie tylko swoją przejmującą pięknocią, ale też męstwem twórczym, jakie objawiło się w warunkach nieustających udręk fizycznych.

Jacek Trznadel wspominał, że podczas jego ostatniej wizyty u Herberta porozumiewali się tylko karteczkami. *Na pożegnanie uniósł w górę zaciśniętą pięść, tak jakby chciał powiedzieć: nie dajmy się, trzymajmy, bądźmy dzielni! Nie przypomniało to wcale mdlejącej ręki chorego.*

Poeta zmarł w warszawskim szpitalu 28 lipca 1998 roku. Gdy umierał, była czwarta nad ranem i szalała akurat nad Warszawą burza z piorunami i grzmotami. Pisano potem, że autor *Epilogu burzy* wyreżyserował swoją śmierć. Prof. Małgorzata Mikołajczak wspominała, że takie było życie poety, *burzliwe, nietatwe, pełne porwanych akordów, poszarpanych nici.*

Zbigniew Herbert został pochowany na Starych Powązkach 31 lipca, w przeddzień obchodów rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Premier Jerzy Buzek powiedział wówczas:

Jego rówieśnicy oddali życie za ideały, których stał się depozytariuszem w swojej poezji. Od dziś do niewidzialnej armii dołączył kolejny żołnierz. Dzięki Bogu, otrzymał inne zadanie, które pokornie i dzielnie wykonał.



Piotr Kłoczowski, eseista, historyk literatury, żegnał Zbigniewa Herberta takimi słowami:

Nazwać świat ... Nikt z nas naprawdę nie wie, jaka jest cena, którą płaci Poeta za ten dar. A płaci całym swoim życiem, przez siedemdziesiąt cztery lata, ich daremnym szczęściem, udręką cierpienia; trawiony bezdomnością i bólem, radością i rozpaczą.

Katarzyna Dzieduszycka-Herbert mówiła o dniach spędzonych z mężem, że były tym najlepszym i najpiękniejszym, co mogło jej się zdarzyć. *Nic nie było łatwe, a jednocześnie wszystko było fascynujące.* Po śmierci męża była opiekunką i promotorką jego twórczości. Dzięki niej wydawano kolejne wiersze z archiwum, tomy esejów i korespondencji, a Herbert był stale obecny w literaturze, zarówno w Polsce jak i na świecie. W 2014 roku odznaczono tę wspańniętą kobietę za wybitne zasługi dla kultury narodowej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Katarzyna Dzieduszycka-Herbert zmarła 15 lutego 2025 w wieku 95 lat i tak napisano o jej dokonaniach w komunikacie PAP:

Katarzyna Herbert była przekonana o konieczności dbania nie tylko o twórczość Zbigniewa Herberta, ale o kondycję całej literatury, przede wszystkim poezji. Dlatego założyła Fundację im. Zbigniewa Herberta i ustanowiła Międzynarodową Nagrodę literacką im. Zbigniewa Herberta, która promuje poezję światową bliską wartościom Herbertowskim i wspiera miejsce Polski na światowej mapie literatury.

* * *

W wierszu *Co robią nasi umarli* Herbert opisywał, jak ci, którzy już odeszli, troszczą się o nas niczym opiekuni, którzy nawet po śmierci czuwają i instruują.

*napominają przez sen
odnoszą zgubione pieniądze
starają się nam o posadę
szepczą numery losów
albo gdy tego nie mogą
stukają palcem w okno*

*a my im z wdzięczności wielkiej
wymyślamy nieśmiertelność
zacziszczając jak norka myszy*

Kończy cykl poświęcony Zbigniewowi Herbertowi, jego życiu i twórczości, cytując właśnie ten wiersz. Autorzy niektórych recenzji czasem pytali, jak to jest możliwe, że człowiek tak niejednoznaczny i powikłany był autorem wielu krystalicznych i zachwycających utworów poetyckich. Próbuując odpowiedzieć na to pytanie stajemy wobec Tajemnicy.

Minęło 27 lat od śmierci poety i ta poezja nadal przemawia do nas. Próbujemy więc, jak wielu ludzi przed nami i pewnie po nas, czytając go, polecając jego wiersze i pisząc o nich, „z wdzięczności wielkiej”, z potrzeby serca, na swój skromny sposób „wymyślić mu nieśmiertelność”.



Podczas pisania artykułu korzystałam z następujących publikacji:

Andrzej Franaszek, „Ciemne źródło. Esej o cierpieniu w twórczości Zbigniewa Herberta” (1998)

Andrzej Franaszek, „Przed tajemnicą”, *Teksty Drugie* (1/2019)

Joanna Siedlecka, „Pan od poezji. O Zbigniewie Herbercie” (2002)

„Upór i trwanie. Wspomnienia o Zbigniewie Herbercie” (2006)

GDZIE KOŃCZY SIĘ UKRAINA, A ZACZYNA POLSKA



TEKST: IZABELA WACŁAWKOVÁ / ZDJĘCIA: STANISŁAW APRIŁASZWILI, MARIAN SIEDLACZEK

Do Warszawy przyjechał ze Lwowa, z miasta, w którym liczba Polaków z biegiem lat stopniowo się zmniejszała. Dziś jest znany przede wszystkim jako redaktor głównego programu informacyjnego 19.30 w Telewizji Polskiej. Choć od kilku lat mieszka w Warszawie, wciąż pamięta o rodzinnych tradycjach. – *Podczas Wielkanocy u nas też dzieli się jajkiem, ale nie jemy żurku. Tę zupełniej we Lwowie mało kto znał* – opowiada Stanisław Apriąszwili.

Skąd pochodzisz?

Pochodzę ze Lwowa, z Ukrainy, z mieszanej rodziny polsko-gruzińskiej. Moja mama pochodziła z rodziny polskiej. Polaków, którzy po wojnie zostali we Lwowie, czyli tych, którzy nie repatriowali się do Polski. Ojciec pochodzi z Gruzji, z Tbilisi. Studiował we Lwowie i tam właśnie moi rodzice się poznali. Mam też korzenie ormiańskie po stronie babci, ponieważ była w połowie Ormianką.

Jakim językiem mówiliście w domu?

W domu mówiliśmy po polsku, taki był też warunek zgody mojej babci na ślub mojej mamy z tatą. Ojciec miał nauczyć się języka polskiego. O ile rodzice między sobą rozmawiali po rosyjsku, to ojciec do mnie mówił wyłącznie po polsku.

Twoja mama od zawsze mówiła po polsku?

Tak, od urodzenia. To jest jej język ojczysty. Ze względu na to, że mieszkała we Lwowie, zna również ukraiński i rosyjski, a ponadto uczyła się angielskiego.

Do jakiej szkoły chodziłeś?

Chodziłem do szkoły z polskim językiem nauczania – Szkoły nr 24 im. Marii Konop-



nickiej we Lwowie. To placówka założona w 1944 roku. Uczyli się w niej moi dziadkowie, moja mama, ja, moje rodzeństwo, a obecnie także moje siostrzenice, czyli już cztery pokolenia. Moja mama i ciocia również w tej szkole pracowały. To więc szkoła rodzinna, w której nauczanie odbywa się w języku polskim, z wyjątkiem historii Ukrainy, języka ukraińskiego, angielskiego oraz przedmiotów prowadzonych przez nauczycieli Ukraińców, którzy nie mówią po polsku.

Czy we Lwowie mieszka jeszcze wielu Polaków?

Nie, niestety nie. Według spisu ludności z 2001 roku we Lwowie mieszkało około 6300 Polaków. To jednak dane sprzed 24 lat. Dziś ta społeczność jest znacznie mniejsza. Myślę, że obecnie liczba Polaków we Lwowie wynosi około 500 osób, może kilkaset. Wiele ludzi wyjechało do Polski i już nie wróciło. Osiedlili się tam na stałe, szczególnie po studiach.

Myślisz, że to wynika z gorszej jakości życia na Ukrainie?

Tak, niewątpliwie. Pogarszające się warunki życia i zmieniająca się sytuacja geopolityczna sprawiły, że po 2004 roku, kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej, wielu Polaków ze Lwowa zaczęło wyjeżdżać do Polski, najczęściej na studia lub do pracy. Proces ten rozpoczął się już w latach 90., gdy granice się otworzyły. Wcześniej część migrantów ekonomicznych wracała, jednak po 2014 roku, wraz z wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej, wyjazdy stały się częstsze. Po 2022 roku liczba osób, które opuściły Lwów, znacząco wzrosła.



Kiedy przyjechałeś do Polski?

Kiedy kończyłem szkołę, zastanawiałem się, na jaki uniwersytet pójść. Mama powiedziała mi, że nie stać nas na studia we Lwowie, ponieważ tam jest bardzo mało miejsc bezpłatnych, większość studentów płaci za naukę. To są uczelnie państwowe, ale tylko około 20% studentów studiuje za darmo, reszta musi opłacać czesne.

Więc postanowiłeś wyjechać?

W 2012 roku byłem w Warszawie na konkursie organizowanym przez Bank Zachodni WBK. Bardzo spodobało mi się to miasto i uznałem, że właśnie tam chcę studiować. Zostałem finalistą olimpiady z literatury i języka polskiego, dzięki czemu miałem zapewnione bezpłatne studia i stypendium. W 2014 roku przyjechałem do Warszawy. W 2017 roku rozpocząłem drugie studia, stosunki międzynarodowe. Jestem magistrem filologii polskiej i stosunków międzynarodowych. Obecnie piszę pracę doktorską o sytuacji i świadomości językowej użytkowników języka polskiego we Lwowie. Zarówno Polaków, jak i osób z rodzin mieszanych czy takich, które nie mają polskiego pochodzenia, ale posługują się polszczyzną.

Czyli jesteś już długo w Polsce.

A jak to jest z odwiedzaniem Ukrainy?

Już 11 lat. Po 2022 roku już nie jeżdżę na Ukrainę, bo nie mogłbym wrócić. Ostatni raz byłem w domu w grudniu 2021 roku, jeszcze przed wybuchem wojny. Przed 2020 rokiem, czyli przed pandemią, jeździłem do Lwowa co dwa-trzy miesiące na kilka dni, na święta, przerwy w zajęciach i tak dalej. W 2020 roku pojechałem do



dentysty i zastał mnie tam covid. Zostałem wtedy we Lwowie na trzy miesiące. Potem wróciłem do Polski, a w 2021 roku przyjeżdżałem jeszcze kilka razy, na święta, latem i jesienią. No i właśnie w grudniu 2021 roku po raz ostatni odwiedziłem dom. To bardzo trudne doświadczenie, zwłaszcza że kiedy bliscy mogą przyjeżdżać i odwiedzać, to jest łatwiej. Ale dom

to dom. I przez to, że teraz nie mogłbym wrócić, nie mogłem też być na pogrzebie najbliższej mi osoby, mojej mamy. Zmarła, a ja nie mogłem tam pojechać... Ale zapamiętałem ją taką, jaką była za życia.

Masz dużą rodzinę?

Można powiedzieć, że tak. Najbliższa rodzina to teraz, po śmierci mamy, mój brat i jego rodzina, która też mieszka tutaj w Polsce.

Czyli masz tu już kogoś bliskiego?

Tak, tak. Mój brat się tu przeprowadził. Chociaż jest 11 lat starszy ode mnie. Mieszka tu również moja ciocia z całą rodziną: córką, wnuczkami i mężem. No i oczywiście mamy jeszcze dalszych krewnych, różne ciotki, wujków i kuzynów.

Odczuwasz duże różnice kulturowe między ludźmi ze Lwowa a tymi z Warszawy? Miateś jakiś szok kulturowy?

Myślę, że tak. Kiedy jechałem do Polski na studia, wydawało mi się, że wszyscy w nie-





czaj. Nie mamy też tradycji dawania prezentów pod choinkę, prezenty przynosi święty Mikołaj 6 grudnia, i to wtedy się nimi wymieniamy.

Czyli prezenty pod choinką 24 grudnia to raczej rzadkość?

Tak, bardzo. Dopiero odkąd moja kuzynka wyszła za mąż za Polaka, zaczęli trochę wprowadzać tę tradycję, ale u mnie w domu nigdy tak nie było.

Jakie potrawy jadacie na Wigilię?

Na Wigilię jemy barszcz z uszkami, karpia faszerowanego, pierogi, gołąbki, sernik.

Czyli w zasadzie potrawy są polskie.

Tak, tak. Czasem też ryba po żydowsku, śledzie i inne podobne dania. Na stole wielkanocnym potrawy są trochę podobne, tylko oczywiście dochodzi kietbasa i babka. Babka to dla mnie najbardziej domowe ciasto – kojarzy mi się z domem. I jeszcze karp faszerowany. Przepis na babkę w naszej rodzinie mówi, że ciasto trzeba ugniać przez godzinę, więc zawsze cała rodzina się angażuje, żeby było dobrze wyrobione. Dzięki temu wychodzi puszyste.

dzielę chodzą do kościoła, a tak nie jest. Zaskoczyły mnie też różnice w codziennym życiu: w gotowaniu, zwyczajach, obrzędach. Na przykład u mnie w domu inaczej obchodzi się Wielkanoc niż tutaj.

Jak w Lwowie obchodziliście Wielkanoc i Boże Narodzenie?

Na przykład podczas Wielkanocy u nas też dzieli się jajkiem, ale nie jemy żurku, tej zupy nikt we Lwowie dawniej nie znał. Żurek pojawił się tam dopiero około 2007–2008 roku. Po prostu nie jest to potrawa tradycyjna dla naszego regionu. Na Boże Narodzenie przy wigilijnym stole nie dzielimy się samym opłatkiem, ale opłatkiem z miodem. To taki nasz zwy-



Czy to ciasto drożdżowe?

Tak, drożdżowe. Potem ta babka rośnie „pod pierzyną”. I są z tym związane różne przesady. Na przykład, że w dniu, w którym piecze się babkę, nie wolno wpuszczać do mieszkania obcej kobiety.

Naprawdę? Dlaczego?

Tak! Bo wtedy coś może się nie udać. To przesąd, ale pamiętam, że raz przyszła do nas dziewczyna mojego brata – obca, spoza rodziny i akurat wtedy przypaliło się mleko. Innym razem odwiedziła nas dalsza ciotka i wtedy drożdże nie wyrosły. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale naprawdę tak było.

A jakie jeszcze mieliście tradycje?

Zawsze obchodziliśmy wszystkie święta narodowe. Obowiązkowo 11 listopada, 3 maja i inne. Chodziliśmy wtedy na mszę, a potem na uroczystości na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. To takie symboliczne miejsce, centrum życia Polaków we Lwowie. Tam składaliśmy wieńce.

Jak was w Lwowie odbierali miejscowi? Czy odczuwali, że mówicie po polsku, że jest jakaś różnica?

Tak, oczywiście. Język ukraiński różni się od polskiego, więc to było zauważalne. Reakcje były różne. Z jednej strony lwowiacy – Ukraińcy, którzy urodzili się w tym mieście i znali jego historię, wiedzieli, że Lwów przed 1939 rokiem należał do Polski. Wiedzieli też, że do końca II wojny światowej Polacy stanowili w mieście większość,



około 60%. Dopiero pod koniec lat 50. Polaków było już tylko 3–4%, więc ten spadek był radykalny.

Po wojnie do Lwowa zaczęli przyjeżdżać ludzie z różnych części Ukrainy, ze wsi podlwowskich, a także z innych regionów Związku Radzieckiego. Społeczność miasta bardzo się wymieszała, a wielu z potomków tych przesiedleńców do dziś do końca nie rozumie, dlaczego Polacy nadal mieszkają we Lwowie i dlaczego mówią po polsku.

Zdarzały się też sytuacje, że osoby z rodzin o poglądach nacjonalistycznych wypowiadały się o Polakach negatywnie. Pojawiały się nieprzyjemne komentarze, wypominanie dawnych krzywd czy różne stygmatyzujące uwagi. Mnie osobiście to nie spotkało, ale wiem, że wcześniej w latach powojennych, Polaków nazywano pogardliwie „przekami” i podobnie. Takie rzeczy się zdarzały. Trzeba też powiedzieć, że polityka władz miasta przez wiele lat była nastawiona na zacieranie śladów polskości we Lwowie.

Jak to się stało, że zostałeś dziennikarzem?

Jeszcze, kiedy mieszkam we Lwowie, bardzo interesowały mnie media. Najbardziej fascynowały mnie programy polityczne w telewizji. Dorastałem w pokoleniu, które oglądało pomarańczową rewolucję, miałem wtedy siedem lat. Pamiętam długie zimowe wieczory, kiedy w telewizji śledziłem wydarzenia na Majdanie.

Czy są jakieś ukraińskie programy, które nie stanowią rosyjskiej propagandy?

Na Ukrainie od zawsze istniały kanały prorosyjskie, ale to były raczej wyjątki. Większość stacji była proukraińska, niezależna, informacyjna.

I takie oglądaliście?

Tak, dokładnie. Miałem wtedy siedem, może osiem lat. A dziesięć lat później, podczas rewolucji na Euromajdanie, znów wszystko śledziłem w telewizji. Bardzo to przeżywałem. Nie mogłem pozostać obojętny. To wszystko miało ogromny wpływ na moje spojrzenie na politykę, społeczeństwo i świat. W 2014 roku zgłosiłem się do internetowej telewizji we Lwowie, która nazywała się Telewizja PoLwowski. To była pierwsza polska telewizja internetowa na Ukrainie.

Internetowa?

Tak, tak. Nazwa była świetna „PoLwowski”, czyli po polsku i po lwowski jednocześnie. Pracowaliśmy tam wolontariacko, nie dostawaliśmy pieniędzy za przygotowywanie



materiałów. Czasami ktoś dał nam symboliczne sto złotych. Wszystko robiliśmy z pasji. Mieliśmy jedno wydanie miesięczne, skróć najważniejszych wydarzeń ze Lwowa.

Chodziło o tematy dotyczące tylko Polaków?

Nie tylko. Ponieważ oczywiście tematów strictly polskich nie było aż tyle. Potem tworzyłem audycje radiowe.

Odpowiadała Ci praca w radiu?

Myślę, że Polskie Radio Lwów dało mi więcej niż telewizja. Telewizja nauczyła mnie pracy w terenie, ale to właśnie radio dało mi poczucie dziennikarskiej wspólnoty. A potem pojechałem do Polski na studia. Gdy wracałem do Lwowa, zawsze zaglądałem do radia, coś tam nagrywaliśmy, przygotowywaliśmy audycje. Czasem też współpracowałem z telewizją, robiliśmy materiały.

W 2016 roku działałem w Towarzystwie Młodych Lwowa i pojechaliśmy wtedy do Muzeum Lwowa i Kresów pod Warszawą. Nagrywano tam program telewizyjny o lwowiakach. Wracaliśmy z ekipą telewizyjną i ktoś mnie zapytał: – A ty czym się zajmujesz? Powiedziałem, że pracuję w telewizji. – A może chciałbyś przyjść na staż? Odpowiedziałem, że oczywiście! Dwa czy trzy miesiące później zadzwonili z propozycją. Poszedłem więc na staż i tak trafiłem do TVP Polonia. I właściwie tak zaczęła się moja przygoda z profesjonalnym dziennikarstwem.

Jak wyglądała praca w TVP Polonia?

Przez pierwsze cztery lata byłem asystentem, potem zostałem reporterem. Jako asystent jeździłem na zdjęcia, nagrywałem

materiały, wyszukiwałem rzeczy w archiwum, pomagałem zbierać i porządkować informacje.

Często zajmowałeś się tematami związanymi z Ukrainą?

Tak, przygotowałem wiele materiałów o Ukrainie i o Polakach mieszkających na Ukrainie.

Co najbardziej podobało Ci się w tej pracy?

Ludzie, atmosfera, tematyka. No i to, że mogłem wykorzystać doświadczenie zdobyte we Lwowie i przenieść je na polski grunt. Potem rozwijałem się dalej. Pracowałem nie tylko w TVP Polonii, ale też przez pewien czas w TVP World, czyli na międzynarodowym kanale. Tam tworzyłem program biznesowy. I to nie były tematy typu ropa naftowa czy giełdy, raczej polityczno-gospodarcze.

To brzmi jeszcze poważniej!

Ha, może tak, ale w sumie fajnie to wspominać. Pracowałem tam tylko trzy miesiące, bo wyjechałem wtedy na Erasmusa, na Maltę. To właśnie wtedy, gdy wybuchła wojna. Pracowałem jeszcze chwilę zdalnie przy tym programie, ale zaraz po rozpoczęciu wojny zdjęto go z anteny. Potem przez pięć miesięcy pracowałem w redakcji regionalnej.

Teraz mogą Cię kojarzyć widzowie z programu 19.30. Jesteś zadowolony z pracy w aktualnej redakcji?

Bardzo. To naprawdę najlepsza redakcja, w jakiej pracowałem. Wcześniej myślałem, że to tylko takie gadanie, kiedy ludzie mówili, że „tak dobrze jak w Polsce, to nigdzie nie ma”. Tamci ludzie faktycznie byli super, bardzo ciepło wspominam tamte lata pracy, ale to nie da się porównać z atmosferą, jaka panuje w 19.30, z zespołem, z naszymi szefami. Naprawdę nigdy nie miałem lepszych przełożonych niż teraz. Wiem, że jeśli mam jakąś sprawę, to zostanę wysłuchany i że sytuacja zostanie rozwiązana. Dla mnie, jako pracownika, to bardzo cenne. No i też wypracowaliśmy już sobie wzajemne zaufanie w zespole i to sprawia, że naprawdę czuję się tu bardzo dobrze.



Jakie masz wizje na przyszłość? Chcesz zostać w Polsce?

Nie wiem, zobaczymy, co będzie za dwa lata. Na pewno chciałbym trochę pożyć za granicą, bo to fajne doświadczenie. Mieszkałem kiedyś na Maltzie, tam już bym nie chciał wracać, ale marzy mi się Wielka Brytania. Byłem w Londynie trzy lata temu i bardzo mi się tam spodobało.

Czyli chciałbyś tam też pracować, ułożyć sobie życie?

Tak, dokładnie. Myślę, że to byłoby ciekawe, otwierające doświadczenie. Wiem jednak, że to duże wyzwanie. W dorosłym wieku rzucić wszystko i wyjechać gdzieś, zaczynać od nowa, budować relacje, poznawać ludzi. No i znowu przechodzić przez wszystkie formalności, które już się ma za sobą – jak legalizacja pobytu i tak dalej. Ale czemu nie? Lubię podróżować, lubię zmiany. Nie mam jakiegoś bardzo konkretnego planu, raczej luźne pomysły. Oczywiście mam marzenia, które chciałbym zrealizować, i chciałbym spróbować siebie w różnych branżach, na różnych stanowiskach.

Czyli marzenia są?

Marzenia są! Zobaczymy, jak to się potoczy. Już mam wypisanych chyba z sześć planów i marzeń, które chcę zrealizować. Na przykład zrobić prawo jazdy i kilka innych rzeczy, o których od dawna marzę. Mam nadzieję, że wszystko się uda.





OD NAUTILUSA PO ESPADON ZE STEVEM MCQUEENEM W TLE

CZĘŚĆ II.: SAINT-NAZAIRE I LE MANS

TEKST I ZDJĘCIA: IZABELA KRAUS-ŻUR

W kolejnym odcinku reportażu z Kraju Loary Atlantyckiej zwiedzimy francuską łódź podwodną w porcie morskim Saint-Nazaire, obejrzymy rekiny w oceanarium oraz zobaczymy na własne oczy ponad stuletnią historię 24-godzinnego wyścigu samochodowego Le Mans.

Rejon ujścia Loary do Atlantyku nie jest najlepszym miejscem do plażowania z uwagi na pogodę (więcej w pierwszej części reportażu). Ma to swoje plusy, ponieważ wbrew pierwotnym wakacyjnym założeniom (tydzień nicnierobienia na plaży) jest mnóstwo czasu na zwiedzanie okolicy. I tak trafiliśmy do Saint-Nazaire, czyli głównego ośrodka przemysłu stocznioowego we Francji. Wybór ten był podyktowany faktem, że mieści się tam muzeum, którego głównym eksponatem jest łódź podwodna.

PONT DE SAINT-NAZAIRE

Ponieważ nasz domek nad Atlantykiem znajdował się na drugim brzegu Loary, droga do Saint-Nazaire prowadziła przez ostatni most na Loarze. Mostów przez najdłuższą rzekę Francji jest co prawda sporo, ale ten jest wyjątkowy. W 1975



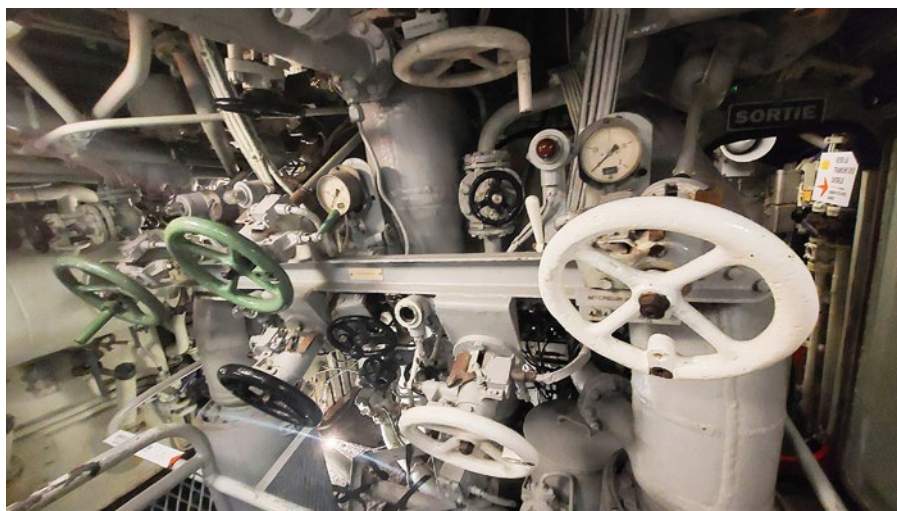


▲ ▼ Espadon, do czego służą pokręta nie mam pojęcia

roku, kiedy ukończono jego budowę, był to najdłuższy most we Francji (jego całkowita długość to 3 356 metrów), a przy rozpiętości 404 metrów na największym przęśle, przez osiem lat był największym mostem wiszącym na świecie. I, nie ma co ukrywać, wygląda naprawdę imponująco, zaś sam przejazd z prędkością plus minus 90 km/godz. trwa dwie i pół minuty.

Przejazd przez most nie był jedynym wrażeniem z drogi do muzeum. Kolejnym był jej ostatni etap, czyli przejazd przez największy francuski port i stocznię Chantiers de l'Atlantique, w której między innymi zbudowano jeden z najpiękniejszych statków pasażerskich SS Normandie, który w 1935 roku zdobył Złotą Wstęgę Atlantyku za najszybsze przebycie oceanu (4 dni, 3 godziny, 25 minut), a także zwodowany w grudniu 2002 roku liniowiec transatlantycki RMS Queen Mary 2.

Zaś z samym przejazdem przez dzielnicę portową Saint-Nazaire chodzi o to, że jazda przez teren przemysłowy doskonale potrafi zbić z tropu. Droga bowiem jest, potem ginie na jakichś placach manewrowych, betonowych nawierzchniach, parkingach. I nie do końca wiadomo, czy jest się jeszcze na drodze, czy już może w jakiejś hali czy magazynie. Tu statki, tam dźwigi, klaksony, syreny, tory kolejowe, groch z kapustą po prostu. Co prawda nawigacja w samochodzie pokazywała, gdzie jechać, ale dzięki w sumie rzadko spotykanej scenerii, można było poczuć się bardzo niepewnie.



ESPADON

Łódź podwodną francuskiej marynarki wojennej znajdziemy w bunkrze-słuzie, który w czasie II wojny światowej wykorzystywały łódzie podwodne Kriegsmarine (w porcie była ich baza). Espadon wszedł do służby w 1960 roku i był przedostatnim członkiem rodziny sześciu okrętów podwodnych klasy Narval (czyli szturmowych). Był też pierwszym francuskim okrętem podwodnym, który zanurzył się pod krą lodową i przekroczył koło podbiegunowe (misja rozpoczęła się w maju 1964). Po spędzeniu 2 561 dni na morzu i 33 796 godzin w zanurzeniu, pokonując 360 547 mil morskich, co odpowiada 17-krotnemu okrążeniu Ziemi, zakończył służbę w 1985 roku. I stał się muzeum.

Wchodząc na pokład okrętu podwodnego, co prawda nieczynnego, ale jednak okrętu podwodnego, byliśmy wniebowzięci, no bo jak często zwykły śmiertelnik ma ku temu okazję? Było wąsko, ciasno i nisko. Po prostu klaustrofobicznie. Każdy centymetr powierzchni wykorzystany był na sto procent. Jak można było po kilku tygodniach nie zwariować w takiej przestrzeni w otoczeniu 59 członków załogi, doprawdy nie wiem. Nie mam też pojęcia, jak kucharz w kuchni o rozmiarach dwa na dwa metry był w stanie ugotować 120 ciepłych posiłków każdego dnia. A że to statek francuski, to w menu i kaczki były, i gęsi. Trudno też sobie wyobrazić, że całą załogę wystarczyło jedno WC. Wszystkie o Espadon można było dowiedzieć się z audioprzewodnika, który, ku naszej wielkiej radości, był również w języku polskim.



Espadon, jedyny korytarz



Espadon, kajuta oficerska

OCÉARIUM DU CROISIC

Nieco ponad pół godziny jazdy samochodem od Saint-Nazaire, nad brzegiem Atlantyku w Le Croisic stoi Oceanarium. Polecam. Parking jest przestronny, akwariów jest mnóstwo, gatunków ryb jeszcze więcej, są meduzy wszelakie i żółwie, i generalnie wszystko, co w oceanie pływa. Inaczej mówiąc zwiedzania na dwie godziny. Są atrakcje w postaci szklanego podwodnego tunelu (jak dla mnie mogłyby być dłuższy) i karmienia pingwinów, co jest widokiem bardzo uroczym. Są też rekiny. Przed zbiornikiem, w którym pływają te nie do końca bezpieczne dla ludzi ryby, można posiedzieć i wpatrywać się w nie do woli.



Espadon, torpedownia z czerwonym przyciskiem

Niemniej muszę ostrzec, że w audioprzewodniku brakowało jednej istotnej informacji – żeby niczego nie naciskać, co niosło ze sobą brzemienne skutki. Otóż, gdy staliśmy przed wyrzutniami torped, zniemacka włączył się alarm. Wszystkie światła ostrzegawcze zaczęły migać na czerwono a całość uzupełnił jakże charakterystyczny i głośny dźwięk *tiii, tiii*. Nie było wiadomo, o co chodzi – pożar, zanurzamy się, odpalamy zapomnianą torpedę? Miny wszystkich na

okręcie były nietęgę... oprócz wyrazu twarzy mojego dziecięcia, który mówił *to nie ja*. Nie przewidziałam, tak samo jak audioprzewodnik, że ze wszystkich rzeczy dorosłą już córkę najbardziej zafascynuje duży czerwony przycisk. Tak, nacisnęła. Po prostu myślała, że jak muzeum, to nie działa. Na szczęście obsługa była pobłażliwa i zakończyło się na oblaniu rumieńcem. Z drugiej strony... ilu Zaolziaków włączyło alarm w torpedowni łodzi podwodnej?



Tu mała dygresja. Miałam kiedyś możliwość kąpienia się razem z rekinami, a raczej stania prawie po pas w wodzie z rękami nad głową (bo palce białych ludzi kojarzą się rekinom z meduzami i rybami czyli pokarmem) i zastanawiania się, czy rekiny ocierające mi się o nogi dziabną mnie, czy nie dziabną. Co prawda były to młode, nieduże osobniki, gdzieś z metr dwadzieścia, ale adrenalina była. Największym zaskoczeniem było, że w dotyku rekiny (nie ich zęby) są aksamitnie. Poważnie.



LE MANS

Będąc w Nantes lub okolicy, i mając czas, można po mniej więcej dwóch godzinach dojechać samochodem do Le Mans, miasta, w którym od 1923 roku odbywa się 24 godzinny wyścig samochodowy. Zadaniem trzyosobowych drużyn jest przejechanie jak największej liczby okrążeń w ciągu dokładnie jednej doby. Tor Circuit de la Sarthe ma długość 13 629 m i jest wpleciony w ulice wokół miasta.

Ponieważ wyścig ma swoją historię, przy samej głównej bramie jest też muzeum (*Des Musée 24 h Le Mans*), istny raj dla miłośników samochodów. Ale nie tylko. Fajnie było wiedzieć jak na dłoni stuletnią ewolucję samochodów wyścigowych. Stała ekspozycja obejmuje ponad 100 zabytkowych samochodów, wiele przedmiotów kolekcjonerskich, dziesiątki filmów i archiwalnych fotografii. W tym zdjęcie legendy kina Steve McQueen.

Choć aktor angażował się w wyścigi samochodowe i poważnie rozważał karierę kierowcy wyścigowego, to w wyścigu 24h Le Mans nie startował, chociaż bardzo, bardzo chciał. Powodem jego zaistnienia w muzeum jest jego własny film pełnometrażowy.



Le Mans 1, główne wejście



Le Mans, model toru i muzeum ▼

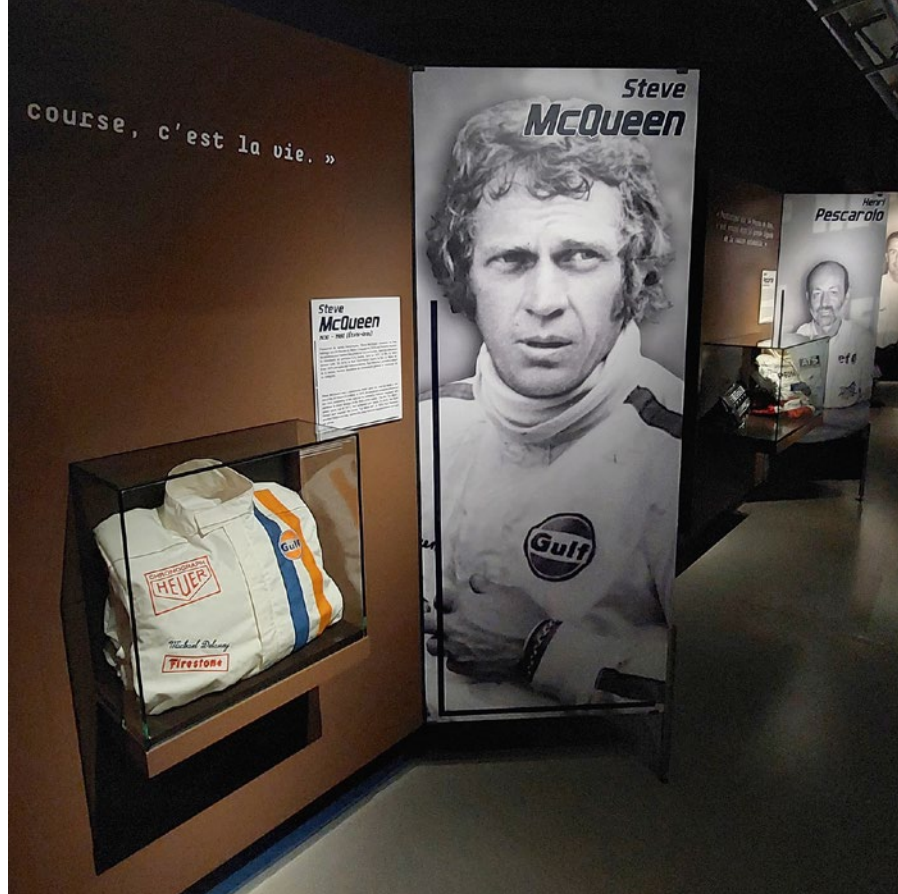


trażowy, zatytułowany oczywiście Le Mans, który uchodzi za najwierniejszy film o wyścigach samochodowych. Ponadto z wizerunkiem McQueena można było spotkać się również na wewnętrznej stronie skórzanych kurtek sprzedawanych w sklepie z gadżetami związanymi z wyścigiem. Cena 800 euro.

Bilet wstępu upoważniał nie tylko do wejścia do muzeum, ale też do zwiedzenia toru, a raczej trybun i okolicy. Teren jest spory, trybuny jak trybuny. Po drugiej stronie toru jest zaplecze gastronomiczno-imprezowe, gdzie pewnie odbywają się przeróżne *eventy*. Wszystko było pozamykane na trzy spusty, jedyną rozrywką było kilku motocyklistów ścigających się na torze. Jak to mówią, lepszy wróbel w garści niż gołębi sto na dachu.

CZKAWKA NA ZAKOŃCZENIE

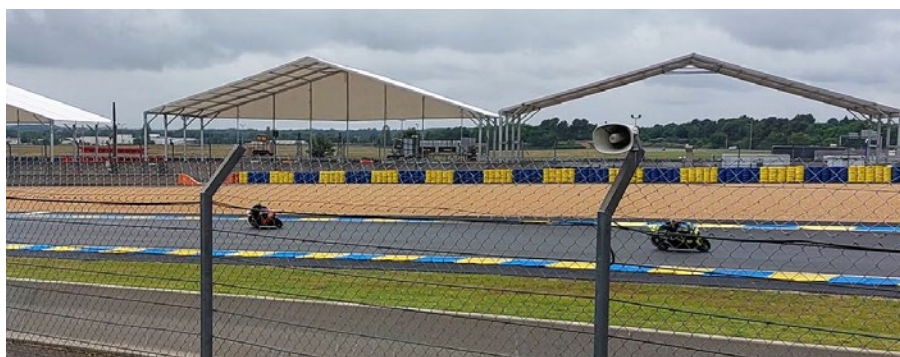
Jedynym minusem naszej wyprawy do Le Mans był fakt, że nie googlowaliśmy porządnie i przeoczyliśmy istotną informację, która do dziś odbija mi się czkawką. Po półtoragodzinnej jeździe samochodem mogliśmy bowiem dotrzeć do Amboise, niedużego, kilkunastotysięcznego miasta. Właśnie w jego centrum, w kaplicy Saint-Hubert w ogrodach Zamku Amboise (château royal d'Amboise) znajduje się



Le Mans, Steve McQueen

grób jednego z największych malarzy wszech czasów, autora Ostatniej Wieczery i Mona Lisy – Leonarda da Vinci.

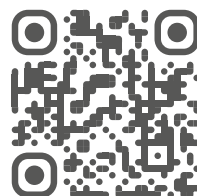
Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przynajmniej mam powód do kolejnych wakacji we Francji.



Le Mans, tor



**Z nami nic Ci
nie umknie!**



zwrot.cz/newsletter/

Polskie informacje z Zaolzia
dwa razy w tygodniu
w Twojej skrzynce mailowej



MOJE EPITAFIUM KRÓL OTOKAR

TEKST I FOTO: KRZYSZTOF ROJOWSKI

To nie tak miało się skończyć.
Przynajmniej – po tym wszystkim – leżę we własnym grobie. W zaciśniętych murach kościelnych. Nie wśród zgietku gapiów obserwujących rozkład zwłok człowieka, który śmiał walczyć o swoje.



Swego czasu, moje ziemie sięgały od Sudetów aż po Morze Adriatyckie. Wojowałem także na północy, nawracałem pogan, a Krzyżacy na moją cześć założyli gród nazwany Królewcem! Niektórzy przymierzali mnie do korony cesarskiej. Niestety – wszystko, co miałem, straciłem. Przez niego – moje nemezis, kata, plugawca i psubrata!

Wyjaśnienie

Przemysław Otokar II to czeski król z dynastii Przemyślidów żyjący w latach 1233–1278. Był czeskim władcą silnie związanym z polskimi i śląskimi książętami – na jego dworze dorastał Henryk Probus, książę wrocławski, który miał aspiracje sięgające polskiej korony w trakcie rozbięcia dzielnicowego. Otokar na swoim praskim dworze gościł również młodego Władysława Łokietka.

Przemysław, który w czasach swej największej świetności władał terytorium rozciągającym się od Sudetów do Adriatyku, zginął w jednej z najbardziej spektakularnych bitew średniowiecza – Pod Suchymi Krutami (*bitwa na Moravském poli*). Pokonany został przez swego arcywroga – rzymskiego cesarza Rudolfa I Habsburga. Artykuł jest swego rodzaju „autorefleksją” władcy nad jego życiem, ukazującym jego wzloty i upadki.

Tekst ilustrują zdjęcia zamku w Hradcu nad Morawicą – wybudowanego przez plemię Góleszyców, a przebudowanego przez Przemysła Otokara II. Dziękujemy zarządzającemu budynkiem za udostępnienie obiektu.

TO NIE JA MIAŁEM BYĆ KRÓLEM

Czasu dostatek, więc zacznijmy od początku. Korona pierwotnie nie była mi pisana – miałem iść do klasztoru, zostać biskupem, może nawet kardynałem. Ojciec, król Wacław, większe nadzieje wiązał z moim starszym bratem Władysławem. Jego śmierć – miał ledwie 20 lat – była tragedią dla rodziców. Ale dla mnie... szansą. Umarł następca tronu, niech żyje następca!

Nie minęło wiele czasu, gdy po bracie dostałem Morawy. Mój pierwszy tytuł! „Margrabia morawski” – to brzmiało dumnie, ale... tylko przez chwilę. Do czasu,

gdy szlachta nie zaczęła już przymierzać królewskiej korony na me skronie. Nie byli zadowoleni z rządów ojca – po śmierci pierworodnego mocno podupadł, oddelegowując na mnie większość swych obowiązków.

Przyszedł do mnie wtedy Czcibor i jego syn, Jarosz. – *Patrz na niego. Ty młody, on stary – na co czekasz?* – mówili. Iskra wzniciła bunt przeciw ojcu, a życiem przypląciła go matka! Nie zdzierżyła tego wszystkiego, ale była wojna, musiały być ofiary.

Czcibora nazywano „Mądrą Głową”. Mądra czy nie, skończyła na pniu. Młody natomiast – wbity na koło. Obaj tego samego dnia. Tak kończą buntownicy. Mnie też nie oszczędzono! Pamiętam smród lochu zamkowego. Miesiące w nim spędzone były niczym wieczność. Dały mi jednak czas do namysłu.

Bycie przegranym – niestety, znam to zbyt dobrze.

WROGÓW WIELU STAWAŁO MI NA DRODZE

Zanim się obejrzałem, tron królewski był już mój. Nie mogłem się jednak długo napawać tą chwilą. Wziąłem ślub z Małgorzatą z Babenbergów. Tak, tych Babenbergów, o których ziemie biło się pół kontynentu. Nie spodobało się to Beli, królowi węgierskiemu.

Ten poganin, psubrat, śmiał najechać moje Morawy! Smród gnijących ciał na odwróconych krzyżach, palonych kościołów i wsi czuć było w samej Opawie. Ba! Pradze! Podpisaliśmy pokój, on wziął Styrię, ja Austrię. Jak się okazało, na szczęście nie na długo. Tak, pamiętam to dobrze – Kreszenbrunn. Myślał, że już mnie ma, że już mnie dopadł! Ha!

A Bóg ich rękami naszymi i naszych żołnierzy, zastraszył, poraził i zmusił do ucieczki. Gdy uciekali, jedni drugich wzajemnie trawili, tak że wspomniana rzeka Morawa powinna być zmienioną nazwę, na egipskie Morze Czerwone, gdyż została zabarwiona krwią wielkiej liczby zabitych. Z powodu ogromnej ilości trupów ludzi i koni, leżących w rzece, nasi żołnierze przeszli po nich, jak po moście, i dostali się do obozu węgierskiego, zyskując liczne tupy – pisałem dumnie do papieża. Tak, piękna była to chwila. Piękna jak Styria, którą pod swe władanie posiadałem.



Z Belą trzymali też polscy władcy, ale gdy zobaczyli, z kim się zadają, szybko zmienili front. Gdy nad Rabcą mierzyłem się z jego synem, Stefanem, walczyli już u mojego boku. I – niech Bóg mi świadkiem – jego też pokonałem! Twierdzi inaczej? Może sobie twierdzić. Trup siał się gęsto, ale to jego wojów padło więcej.

Moja władza sięgała wtedy od Sudetów aż po Adriatyk. To inni musieli wybierać – albo być po mojej stronie, albo nie być w ogóle. Nie było to trudne pytanie.

Wtedy pojawił się on. Rudolf. Niech go szlag.

IMPERIUM KRWIĄ ZBUDOWANE

Do tego śmiecia jeszcze wrócę. Mam na to całą wieczność, grób mój cichy i spokojny. Niechaj jeszcze wspomnę dobre czasy.

Mówili o mnie „żelazny król”. „Złoty król”. Tak, wojna zawsze zbiera swoje żniwo, ale odpląca się złotem. Albo srebrem, jak tym z kopalni w Srebrnej Górze. A pieniądź to rozwój.

Zakładałem miasta, takie jak Czeskie Budziejowice, Uherské Hradiště, Iglawę, a nawet ten Królewiec, gdy krucjatą wspierałem święty zakon. Przywracałem świetność zamkom – jak choćby temu w Hradcu, wzniesionemu przez dzielnych Gołyszyców. Dbałem nie tylko o budowle, ale też o przyjaźnie.

Ceniłem szczególnie mych braci Polaków. Pamiętam dobrze lipiec 1271, gdy do Pragi przyjechał Leszek Czarny z młodziutkim bratem. Jak mu było? Władysław, czy jakoś tak. Inteligentny młodzian, acz niski. *Nie większy niż łokietek* – mówili o nim. Wydawało się, że wyjdzie na ludzi. Pytał o relikwie świętego Stanisława, jakie przed laty sprowadziłem z Krakowa.

Bracia prosili o wsparcie w wojence z Bolesławem, który trzymał stronę węgierskiego Beli. W ich oczach byłem potężnym władcą, sojusznikiem innych książąt – głogowskiego Konrada czy wrocławskiego Henryka. Z niego będą ludzie – dorastał wszak na moim dworze.

Mawiają, że przyjaciół poznaje się w biedzie. Istotnie.





nie, ale także Polacy. Tam – Niemcy, Austriacy, Węgrzy. Suche Kruty – tę nazwę będę pamiętał przez wieczność.

Zaczęliśmy ochoczo, widziałem nawet, jak jeden z Polaków ruszył wprost na Rudolfa – dopadł go, ciął, lecz jedynie zrzucił z konia. Cesarza uratował inny rycerz.

Potem się posypało. Cofnęliśmy się, a ci poczęli wołać: *Uciekają!* Mnie ucieczkę zarzucać! Ruszyłem. Miecz mój ciął równo – co i rusz czułem bryzgającą krew moich wrogów na swym ciele. Wkrótce jednak i ono zaczęło krwawić.

Pamiętam, jak padłem na ziemię. Mizerykordia szybko przecięła, co trzeba. Zdjęli ze mnie zbroję, szaty i nagiego w błocie zostawili. – *Stawał tego dnia mężniej, niż kiedykolwiek* – rzekł Rudolf. Złitował się nad wrogiem na tyle, że kazał mnie ubrać. Na więcej liczyć nie mogłem.

GRÓB CICHY

Rok i pół to długo, nawet myśląc o wieczności. Ciało me tak długo leżało w Wiedniu, przed kościołem. – *Tak kończą ci, co sprzeciwiają się woli cesarza* – mówiono.

Dlatego cenię ten mój praski grób. Bez zgiełku, plugastw, oszczerstw, kpin.

Doczesność krótka jest. Za to pamięć tym dłuższa, im miecz ostrzejszy.

Źródła:

Mika Norbert, „Walka o spadek po Babenbergach 1246–1278”

Morys-Twarowski Michael, „Łokietek Rex, jeden by wszystkimi rządzić”

Zielonka Zbigniew, „Henryk Prawy”

Portal zamki.name

NEMEZIS

Myślałem – któż mi może zagrozić? Ziemię me rozległą, wojska nie brakuje, przyjaciół też. Ale wtedy pojawił się on – niemiecki król, Rudolf. Z Habsburgów, którym marzyły się dawne włości Babenbergów – Austria, Styria.

Zareagowałem natychmiast. Pisałem do papieża, by elekcję unieważnił. To były moje ziemie! Krwią moich wojów wywalczono i zdobyte!

Nie doceniłem Rudolfa, którego gnała ambicja odzyskania ziem. Głodny zawsze będzie groźniejszy od sytego.

Najpierw Sejm w Norymberdze nakazał zwrócić ziemie Babenbergów, a gdy z tym zwlekałem, król niemiecki wypowiedział wojnę. Przyszła też... ekskomunika.

Było i więcej upokorzeń. W starciu z jego armią, moja nie okazała się tak mocna. Musiałem skapitulować. Straciłem wszystko, klęcząc u jego stóp. W lenno dostałem Czechy i Morawy, tyle mi zostało. Ale wtedy, na kolanach, wyklęty przez Boga przysięgałem na wszelkie świętości – jeszcze zobaczysz. Jeszcze zadrzysz przed ostrzem mego miecza!

Pokornie służąc, szukałem sojuszników. Zapraszając książąt polskich – Bolesława, zwanego Pudykiem, Leszka Czarnego, władców śląskich – na opawski zamek, pisałem:

Badając dokładnie i przezornie przeróżne rodzaje ludów, przekonaliśmy się, że szczególnie nam podobny jest naród rozległej Polski. [...] dochodzimy do takiego przekonania, przywiedzeni doń naturalnymi pobudkami, by dostojnych książąt Polski, rycerzy i cały lud [...] objąć jak najściślejszą miłością i życzliwością, by cieszyć się ich radościami, a smucić się ich smutkami, by pragnąć być im obroną, by żyć z ich ciągłym pomnożeniem się ich chwały i sławy. Również z tego rozważania budzi się w nas ufność, podnosi się i rośnie niezłomna wiara, że Was [Polaków] w przypadku koniecznym możemy bez wahania zawezwać, byście nam pospieszyli ochoczo z poparciem i pomocą.

I pospieszyli. W chwili próby wsparli.

DZIEŃ SĄDU

Sześćdziesiąt tysięcy zbrojnych, gorące, sierpniowe popołudnie. Siły równe po każdej ze stron. Po mojej – Czesi, Morawia-





TU SIĘ CZYTA!

TEKST: IZABELA ADÁMEK / ZDJĘCIA: HALINA SZCZOTKA

We wtorek 2 grudnia w kawiarni Avion w Czeskim Cieszynie odbył się finał konkursu „Tu się czyta!”. Inicjatywę tę, już po raz szósty, zorganizowały dla młodzieży szkół średnich na Zaolziu Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki oraz Biblioteka Miejska w Czeskim Cieszynie. Głównym celem projektu jest zmotywowanie młodzieży do czytania oraz rozwijanie zdolności twórczych, w tym przede wszystkim pisania.

– *Bardzo się cieszę, że tak liczna grupa wzięła udział w tegorocznej edycji – napisało aż 75 prac. W Avionie gościliśmy finalistów, czyli szesnastkę uczestników, którzy otrzymali wyróżnienia. Muszę podkreślić, że ich prace były bardzo dojrzałe. Jury zawsze ma trudne zadanie, aby wyłonić laureatów konkursu – powiedziała w rozmowie ze Zwrotem Halina Klimsza z Biblioteki Miejskiej w Czeskim Cieszynie.*

PODSUMOWANIE KONKURSU

Halina Szczotka, redaktor naczelna miesięcznika Zwrot, podsumowała prace konkursowe, zwracając uwagę na ich dojrzałość i głębię analizy. Podkreśliła również,

że uczestnicy w swoich pracach wykazali wysoki poziom technicznej i emocjonalnej świadomości literackiej.

– *Czytacie, żeby zrozumieć. Żeby zobaczyć, jak myśli drugi człowiek. Chcę wam pogratulować nie tylko udziału w konkursie, ale też waszej ciekawości, odwagi, by mówić, co naprawdę myślicie. Dziękuję wam i gratuluję wszystkim uczestnikom – podsumowała Halina Szczotka.*

ZWYCIĘZCZYNI KONKURSU

Jury, w składzie Halina Szczotka, redaktor naczelna Zwrotu, Franciszek Szymczysko, bibliotekarz i grafik oraz Halina Klimsza, bibliotekarka i lektorka, postanowiło przy-

znać główną nagrodę Teresie Richter, jej pracę prezentujemy w tym numerze miesięcznika. Kolejne miejsca zdobyli Jindřiška Dordowa i Wojciech Bureš, uczniowie Polskiego Gimnazjum.

Zwycięstwo w konkursie jest dla młodych autorów okazją do pokazania swoich prac szerszej publiczności.

Organizatorzy serdecznie podziękowali Konsulatowi Generalnemu RP w Ostrawie oraz miastu Czeski Cieszyn za wsparcie finansowe. Wyrazili również wdzięczność za owocną współpracę z dyrekcjami szkół z polskim językiem nauczania, w tym z Polskim Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego oraz z Akademią Handlową w Czeskim Cieszynie, prowadzącą polskie klasy i grupy. (IA)

CZY TA KSIĄŻKA POMAGA CZY MORALIZUJE?

Książka *Hera, moja miłość* autorstwa Anny Onichimowskiej porusza bardzo trudny, ale ważny temat – uzależnienie od narkotyków. Głównym bohaterem jest siedemnastoletni Jacek, który ma wszystko: rodzinę, dom, pieniądze i przyjaciół. Mimo to sięga po narkotyki, bo chce zaimponować dziewczynie i spróbować czegoś nowego. Z czasem jego życie wymyka się spod kontroli, a jego młodszy brat Michał, który go podziwia, płaci za to wysoką cenę.

Autorka pokazuje, że narkotyki mogą zniszczyć nawet szczęśliwą rodzinę. Opisuje problemy z różnych punktów widzenia – Jacka, jego matki i ojca. Dzięki temu widzimy, że każdy z nich przeżywa tragedię inaczej. Czytelnik może zrozumieć, że brak rozmowy i bliskości w rodzinie może prowadzić do nieszczęścia.

Moim zdaniem książka nie moralizuje, tylko pomaga. Autorka nie poucza ani nie mówi wprost, co jest dobre, a co złe. Pokazuje świat młodych ludzi z niezbyt przyjemnej perspektywy – z błędami, emocjami i konsekwencjami. To sprawia, że historia wydaje się prawdziwa i skłania do refleksji. Czytając, można zrozumieć, jak łatwo podjąć złą decyzję i jak trudno potem naprawić swoje życie.

Hera, moja miłość to raczej smutna książka. Natomiast jeśli miałabym uwzględnić plusy ponurej atmosfery książki to powiedziałabym, że nauczyła mnie, iż ważne jest, aby myśleć o konsekwencjach i następstwach naszych decyzji. Pomogła zrozumieć, że warto rozmawiać z bliskimi i nie udawać, że problemy nie istnieją. Co swoją drogą jest kluczem do budowania

zdrowej i pełnej zaufania relacji, lecz jest często bardzo trudne do wykonania. Pokazuje też, że uzależnienie to nie tylko problem jednej osoby, ale całej rodziny.

Moim zdaniem warto zwrócić uwagę na to, że książka o narkomanii może co prawda mówić o uzależnieniu i nauczyć czegoś na ten temat, lecz nie powinna być źródłem, do którego osoby zmagające się z problemami tego typu powinny się zwracać. Książka tylko ostrzega, ale nie uratuje osoby z uzależnieniem. Po profesjonalną pomoc należy udać się do przeznaczonych do tego instytucji.

Teresa Richter

Polskie Gimnazjum im. J. Słowackiego
w Czeskim Cieszynie

Szanowni Czytelnicy,

z okazji Świąt Bożego Narodzenia życzymy Państwu spokoju,
który pozwala złapać oddech, oraz bliskości, która dodaje siły na kolejne miesiące.
Niech ten czas przyniesie wytchnienie, dobre rozmowy i poczucie, że jesteśmy zakorzenieni w tradycji.

W nadchodzącym roku życzymy wytrwałości, odwagi do realizowania własnych planów i wielu momentów,
które po prostu dobrze się pamięta.

Dziękujemy, że są Państwo z nami, że czytają, komentują i wspierają nasze działania.
To dzięki Państwu „Zwrot” może rozwijać się dalej.

Wesołych Świąt i pomyślnego Nowego Roku

życzy redakcja „Zwrotu”





Na spacer po Orłowej Porębie zabrała mnie Dalia Śliwkova – prezes tamtejszego MK PZKO (fot. 1).

[1] Dalia Śliwkova przed Domem PZKO
Orłowa-Poręba ▲

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

ORŁOWA PORĘBA

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA



PRZYSZŁOROCZNY JUBILAT – DOM PZKO

Spacer zaczynamy przy Domu PZKO (fot. 1). Na wstępie moja przewodniczka informuje, że budynek ten w przyszłym roku będzie miał 100 lat.

Wchodzimy do środka. Zatrzymujemy się już w holu, by obejrzeć zawieszane na jego ścianach tablice pamiątkowe (fot. 2). Przeniesiono je tutaj z tych orłowskich budynków, które już zniknęły z powierzchni ziemi. – *Są to tablice pozbierane ze szkół, których już nie ma. Bo nasz Dom PZKO jest jedynym budynkiem dawnej szkoły, który stoi* – moja przewodniczka wyjaśnia, że obecny Dom PZKO wybudowany był właśnie jako polska szkoła. – *Ma bardzo ciekawą historię. Wybudowała go Macierz Szkolna z Krakowa, ale bardzo aktywnie, również*

finansowo, angażowali się w tę budowę miejscowi Polacy. Grunt, praca, ale i pieniądze pochodziły od miejscowych, którzy chcieli mieć polską szkołę. Rok 1926 był pierwszym rokiem szkolnym dla polskich

dzieci w Porębie. Była to szkoła ludowa. Na górze znajdowało się mieszkanie kierownika. Dzisiaj mamy tam zaplecze kuchenne i salkę zebrań. A tutaj są sale. Są naszą chlubą. Na początku tego roku wykonaliśmy



[2] Dalia Śliwkova przy jednej z tablic pamiątkowych umieszczonych w holu Domu PZKO ►



[3] Parking przed Domem PZKO



[4] Ulicą Poprzeczną w stronę stawów

generalny remont tej największej sali. Zupętnie zrujnowaliśmy się finansowo, bo cały remont został przeprowadzony bez żadnych dotacji. Wszystko sfinansowaliśmy z darów i z naszej działalności, ale remont ten był już konieczny. W tej sali jest bufet, a tutaj fortepian, na którym często się gra, co bywa bardzo fajne – moja przewodniczka oprowadza mnie po Domu PZKO.

Wspomina też, że Miejskowe Koło PZKO Orłowa-Poręba liczy niecałą setkę członków, z czego około 30 aktywnie udziela się w pracach Koła. Warto tu zauważyć, że MK PZKO Orłowa-Poręba skupia nie tylko Porębian, ale także dawnych członków Kół, które zanikły, a ich działacze przeszli do Poręby. Mowa tu o Orłowej i Łazach.

– Tu jest sala, w której organizowane są takie wydarzenia, jak na przykład niedawny turniej tenisa stołowego. A tutaj nasza orkiestra trzyma instrumenty – Dalia Śliwkova wskazuje na kolejne pomieszczenia. Ewidentnie widać, że w porębskim Domu PZKO sporo się dzieje.

Dalia Śliwkova opowiada całą historię budynku od jego wybudowania jako szkoły, po wojenne i powojenne losy. – *Od 1948 do 1974 roku funkcjonowała tu na powrót polska szkoła. Była to „ludówka”, od pierwszej do piątej klasy. W 1974 roku szkołę zamknięto z powodu małej ilości dzieci. Choć to przecież pierwotnie był polski budynek, wybudowany przez Polaków za ich pieniądze, to komunistyczne władze oczywiście zabrały wszystko, a miejscowym Polakom wynajęły jedną salkę na górze na działalność PZKO. A reszta... Czego tu nie było... Przedszkole, fryzjer – wylicza. – Ale budynku nie remontowano, więc niszczał. Po rewolucji zabiegaliśmy, by – mimo że był w kiepskim stanie – zwrócono nam budynek. Udało się. Mieliliśmy takie szczęście, że w Orłowej w tym czasie byli przychylni Polakom władze, przy czym byli to Czesi. Z nimi dało się*

dogadać. Był w radzie miasta między innymi historyk, który, choć Czech, to znał lokalną historię – wspomina Dalia Śliwkova.

Wychodzimy przed Dom PZKO. Moja przewodniczka podkreśla, że budynek posiada ogród, gdzie Koło organizuje liczne imprezy plenerowe. A przed domem jest miejsce do parkowania (fot. 3). – *Jest to w dzisiejszych czasach bardzo ważne. Mamy też dobre układy z sąsiednią restauracją i jak potrzebujemy powiększyć ogród na jakąś większą imprezę plenerową, to przesuwamy płot pomiędzy ogrodami PZKO i restauracji – cieszy się.*

HISTORIA I ETYMOLOGIA NAZWY

Przechodzimy przez parking, następnie przez główną drogę i idziemy na wprost ulicą Poprzeczną przez osiedle domów rodzinnych. – *Kiedyś Poręba była samodzielną wioską. Częścią Orłowej stała się dopiero po wojnie. Była to wioska, w której nie było nawet kościoła. Były jednak sklepy, poczta i szkoły. Głównie jednak była to wioska rolnicza. Domy były oddalone od siebie. Był dom, zabudowania gospodarcze, kilka hektarów pola i dopiero następny dom należący do sąsiedniego gospodarstwa. Była tutaj bardzo żyzna gleba. A nazwa Poręba wzięta się stąd, że kiedyś były tutaj lasy, które wyrąbano pod pola uprawne*

– moja przewodniczka przybliży historię swej miejscowości.

– Teraz jest tutaj bardzo dużo nowych budynków, bo obecnie Poręba stała się taką dzielnicą domków rodzinnych – uzupełnia.

PRZYRODA I NIEZWYKŁA ATRAKCJA DLA ŁYŻWIARZY

Idziemy w kierunku Rychwałdu. – *Chcę pokazać naszą piękną przyrodę. Idziemy więc do rzeczki i stawów, w których po dziś dzień są ryby –* zapowiada moja przewodniczka.

– Prawie wszystkie domy, koło których idziemy (fot. 4), były postawione albo w międzywojniu, albo już po II wojnie światowej. Jak burzono starą Orłową i Łazy, to ludzie albo przeprowadzali się w kierunku Cieszyna, albo, wykorzystując grunty po babciach, właśnie tutaj. Tak więc żadnych zabytków tutaj nie ma – wyjaśnia moja przewodniczka.

– W pobliżu były tu dwie kopalnie: „Wactaw” i „Zofia”. Ale nie w samej Porębie. Pod Porębą nie wydobywano, bo tutaj jest skała – Śliwkova wyjaśnia jak to się stało, że Poręba nie podzieliła losów okolicznych miejscowości, które w wyniku „szkód górniczych”, jak nazwano efekty rabunkowej gospodarki węglowej, przestały istnieć.

Asfalt się kończy. Mijamy jedno z dawnych gospodarstw (fot. 5). – *To jest przy-*

[5] Jedno z dawnych gospodarstw





[6] Ścieżka prowadząca do stawów



[7] Widok na potok o nazwie Strużka

kład tego, jak wyglądała tutaj dawna zabudowa – zauważa moja przewodniczka. Wchodzimy na wąską ścieżkę leśną (fot. 6).

Po chwili dochodzimy do mostka przez potok o nazwie Strużka, z którego rozciąga się malowniczy widok na naturalny ciek wodny (fot. 7). Skracamy w lewo. Moja przewodniczka zwraca uwagę na widoczny z tego miejsca napis na mostku „SPK POREMBA”. – *To jest napis z czasów Austro-Węgier. W „Poręba” nie ma „ę”, ale całość napisu pokazuje, że nazwa, jaka*

funkcjonowała w czasach austriackich, była polska – zauważa Śliwkova.

Skracamy w lewo. Idziemy ścieżką wzdłuż Strużki (fot. 8). Po lewej stronie mamy potok (fot. 9), po prawej zaś, za drzewami, stawy (fot. 10). Żałujemy, że nie wybrałyśmy się na spacer nieco wcześniej, kiedy malowniczo mieniły się kolorami rosnące tutaj drzewa. – *Na spacerach najpiękniej jest tutaj wiosną, kiedy wszystko zaczyna się zielenić i kwitnąć, oraz jesienią, kiedy liście są złote i czerwone. A w zimie, jak jest duży mróz, to po tych stawach można dojechać na łyżwach aż do Rychwałdu,*

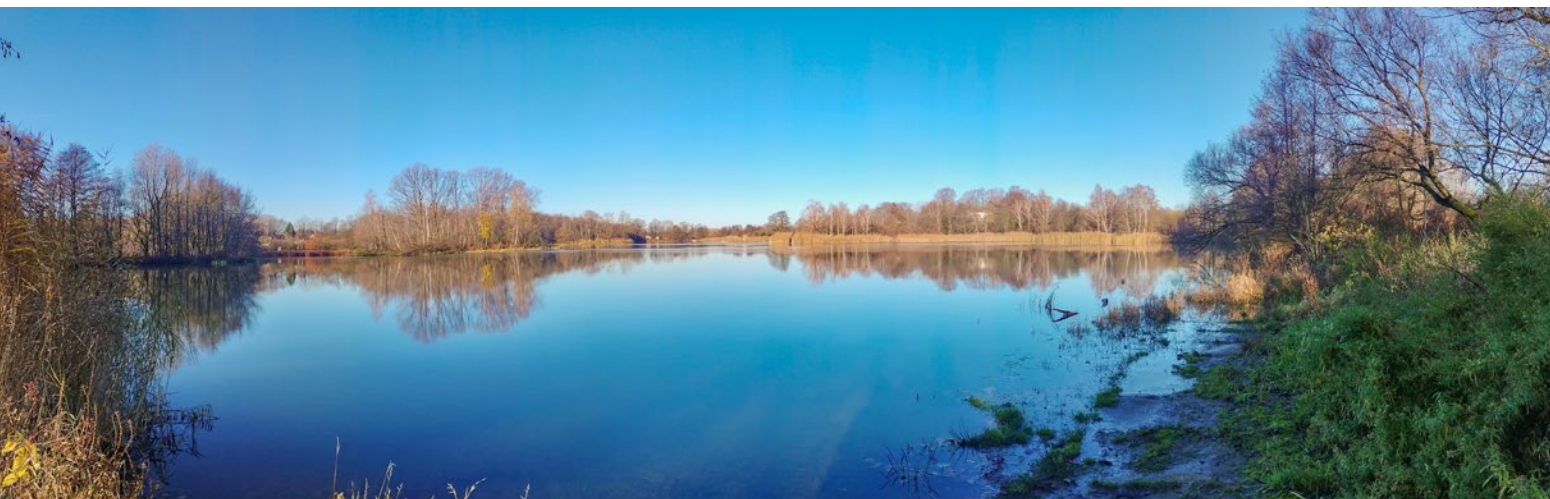
bo są one połączone – mówi Śliwkova. Waham się, czy taką informację ze względów bezpieczeństwa, można podawać. Moja przewodniczka uspokaja jednak, że wydarzenia te są oficjalnie organizowane przez miasto Rychwałd. Natomiast na jednym z kilku pomniejszych stawów, bardzo płytkim, łyżwiarze jeżdżą już samowolnie, na własne ryzyko.

– *Jest to jednak o tyle bezpieczne, że ten staw jest bardzo płytki. Wody jest mało, więc łatwo zamarza, a nawet gdyby ktoś wpadł, to najwyżej po kolana – stwierdza moja przewodniczka.*

[8] Ścieżka wzdłuż Strużki ▼

[10] Staw ▼▼

[9] Strużka ▼





[11] Po wyjściu z osiedla na ulicę Śląską skręcamy w lewo.



[12] Domki dawnej górniczej kolonii

Od stawów wracamy tą samą drogą, którą przyszyliśmy. Skręcamy w prawo, na mostek, gdzie byliśmy wcześniej. Moja przewodniczka wyjaśnia, że gdybyśmy przy mostku nie skręciły, tylko poszły ścieżką dalej na wprost, to doszłybyśmy do Orłowej Lutyni.

PRZEZ CENTRUM PORĘBY

Wracamy tą samą drogą aż do głównej szosy, ulicy Śląskiej. Skręcamy w lewo (fot. 11). Po lewej stronie mamy autosalon, po prawej zaś, po przeciwległej stronie szosy, tartak. – Jest to jeden z najstarszych zakładów pracy w naszej miejscowości. Jak wcześniej mówiłam – nim powstała Poręba, były na tym terenie praktycznie same lasy. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy powstała wioska, założono tartak. Dzisiaj jest to oczywiście już zupełnie inny zakład – wyjaśnia moja przewodniczka.

Idziemy chodnikiem wzdłuż ruchliwej ulicy Śląskiej. Po lewej stronie równolegle do niej prowadzi wewnętrzna, osiedlowa droga, przy której jeden obok drugiego stoją domki dawnej górniczej kolonii (fot. 12). – Wybudowały je kopalnie. Obecnie są prywatne. Większość wykupili ich mieszkańcy – stwierdza moja przewodniczka. Wyja-

śnia też, że pierwotnie droga była o wiele niżej (fot. 13). Mijamy remizę straży pożarnej i budynek mieszczący obecnie warsztat samochodowy. Moja przewodniczka wspomina, że niegdyś funkcjonowało w nim m.in. kino.

Przechodzimy nad torami, nad linią kosożycko-bogumińską. Moja przewodniczka podkreśla, jak znaczącym faktem w historii miejscowości była jej budowa.

– Obecnie w zasadzie nie funkcjonuje. Jak jeszcze działały kopalnie, to była linia towarową, którą wożono węgiel. Ale od czasu, kiedy kopalnie zaprzęstały produkcji, a w Karwinie wybudowano nowy dworzec kolejowy, to przejeżdża tędy najwyżej jeden

pociąg towarowy dziennie. I pociągi – atrakcje turystyczne, jakie od czasu do czasu organizuje tutaj stowarzyszenie „Slezský železniční spolek” – dodaje.

Moja przewodniczka wskazuje dawne funkcje widocznych w dole zabudowań. – Tutaj był sklep papierniczy, a tutaj za komuny budynek Rady Narodowej – wyjaśnia.

W KIERUNKU STAREJ ORŁOWEJ

Na wysokości szkoły specjalnej (fot. 14) przechodzimy na drugą, prawą stronę jezdni, po czym, minawszy przystanek autobusowy, skręcamy w zejście tylko dla pieszych (fot. 15). Idziemy nim w kierunku Orłowej.



[15] Zejście dla pieszych do ulicy U Strużki

[13] Gdy idziemy ulicą Śląską widać wyraźnie, o ile była ona w przeszłości niżej.



[14] Szkoła specjalna





[16] Rajczula

– Jest to droga, którą nasi przodkowie, jak chcieli coś kupić albo sprzedać, chodzili do miasta – wyjaśnia moja przewodniczka.

Po prawej stronie mamy tyły mijanej wcześniej szkoły, po lewej jeden z nieco starszych, międzywojennych domów. A przed nami wije się wąska, obecnie asfaltowa droga.

Przechodzimy mostkiem dla pieszych przez Strużkę. Za mostkiem skręcamy w prawo. Po lewej stronie, w oddali mamy gospodarstwo rolne (fot. 16), po prawej zaś koryto Strużki.

– Na to gospodarstwo mówi się „rajczula”. Nazwa pochodzi z niemieckiego określenia placu, na którym uczono jazdy konnej – „Reitschule” – wyjaśnia moja przewodniczka. – A w tamtym budynku, takim pomarańczowo-różowym widocznym w oddali, mieszkał kiedyś główny architekt Orłowej – dodaje.

Gdy tak idziemy fragmentem trasy ścieżki edukacyjnej Orłowa po prawej stronie, za domkami letniskowymi, wyłaniają się zabudowania dawnej rzeźni, a za nimi widać pozostałości kopalni w łazach (fot. 17).

Przed sobą zaś mamy, widoczną za drzewami wieżę kościoła w Orłowej.

Wskazując na ślepą obecnie ścieżkę w prawo (fot. 18) moja przewodniczka wspomina, że niegdyś stanowiła ona drogę na skróty do dworca kolejowego. Jego zabudowania mającą pomiędzy bezlistnymi o tej porze roku drzewami.

Przechodzimy po raz kolejny mostkiem przez Strużkę (fot. 19). Po lewej stronie mamy górkę (fot. 20). Moja przewodniczka wyjaśnia, że niegdyś aż tutaj sięgał park zamkowy, który zwiedzimy nieco później. Przed nami natomiast wyłania się dawny budynek dworcowy (fot. 21). – Kiedyś był bardzo ładny. Był to taki klasyczny dworzec austriacki, z zadaszeniem, kwiatami – wspomina Śliwkova.

Nie przechodząc na drugą stronę drogi skręcamy w lewo. Po lewej stronie widzimy kościół, a przy samej drodze starszy budynek (fot. 22). Po prawej, przeciwległej stronie drogi widzimy socrealistyczny pawilon sklepowy. Skręcamy w lewo.

[17] Za domkami letniskowymi widać zabudowania dawnej rzeźni, a za nimi pozostałości kopalni „Zofia” ▼

[19] Kolejny mostek przez Strużkę ▼▼



[18] Ślepa obecnie ścieżka w prawo niegdyś stanowiła drogę na skróty do dworca kolejowego ▼

[20] Naturalne wzniesienie na obrzeżach starej Orłowej ▼▼





[21] Dawny budynek dworcowy



[22] Po lewej stronie widzimy kościół, a przy samej drodze starszy budynek

Przed sobą, w oddali, widzimy dawny ratusz, obecnie Poliklinikę (fot. 23). – Kiedyś cały budynek zajmował ratusz całej wielkiej Orłowej. Obecnie są w tym budynku tylko trzy wydziały, a resztę zajmuje Poliklinika. Natomiast w tym budynku obok dawniej był dom towarowy, gdzie można było kupić luksusowe rzeczy. A na tym rynku było ogromne targowisko. Jak mówiłam Poręba była rolnicza, łączyła za to były bardziej rzemieślnicze. Na tym rynku można było kupić wszystko. Funkcjonowała kolej, więc na targi przyjeżdżali tutaj i ze Słowacji i z innych dalszych stron – przybliży historię miejscowości moja przewodniczka.



[23] Ratusz, Poliklinika i Kościół Narodzenia Marii Panny

Na lewo widzimy Kościół Narodzenia Marii Panny (fot. 23). – Jest to kościół związany z początkami historii Orłowej. Pierwsza wzmianka o Orłowej pochodzi z roku 1233. I nie jest to legenda, w przeciwieństwie do opowieści o Mieszku, który z ciężarną żoną miał być tu na polowaniu, gdy nagle w lesie porastającym te tereny pojawił się orzeł, żona urodziła syna, więc kazał wybudować w tym miejscu kaplicę, a osadę nazwał Orłową. Tyle legenda. Natomiast z autentycznych zapisów w dokumentach wynika, że kaplicę, a później kościół, wybudowali tu mnisi z klasztoru w Tyńcu. Kościół w takiej postaci, jak jest teraz, wybudowano w latach 1905–1906. Oczywiście

wiecie od tego czasu był niejednokrotnie remontowany i przebudowywany. Ostatni remont przeprowadzono stosunkowo niedawno. A ostatek się do naszych czasów właściwie cudem. Za komuny, w latach 80., był już wydany nakaz jego rozbioru. Ksiądz, który otrzymał tę decyzję, a także pieniądze na przeprowadzenie rozbioru, wykorzystał te pieniądze na remont. Powiedział podobno: „ja już i tak siedziałem, to będę siedział znowu.”. I dzięki niemu kościół stoi do dzisiaj – przekazuje moja przewodniczka. Dorzuca ciekawostkę z ostatnich lat, kiedy to budynek stał się planem filmowym. – Kręcili w jego wnętrzach film „Kler”. Był to bardzo kontrowersyjny film

i w Polsce nie dało się go nakręcić, bo Kościół się nie zgodził – wyjaśnia. Dodaje, że w kościele tym jest bardzo bogate życie kulturalne. Odbywają się tu liczne koncerty.

PARK ZAMKOWY

Mijając po prawej stronie budynek dawnej Kasy Oszczędności wspinamy się po schodach. Obchodzimy kościół i mijając grootę z figurą Matki Boskiej udajemy się do sąsiadującego z kościołem parku (fot. 24).

– Był tutaj zamek, bardzo ładny, który nie dotrwał do naszych czasów – moja prze-

[24] Park zamkowy



[25] Park zamkowy





[27] Budynki przy ulicy Petra Cingra



[28] W tym miejscu palił się na skutek zapalenia wydobywającego się z kopalnianych szybów gazu tzw. wieczny ogień.



[26] Nagrobek Richarda Mattencloita

wodniczka wskazuje na park i rozległy trawnik. – Budynek zamku stał mniej więcej tam, gdzie teraz w oddali widzimy tawki (fot. 25). A tutaj pochowany jest właściciel tego zamku, Richard Mattencloit – Śliwkova wskazuje na płytę nagrobną (fot. 26). – Jest tutaj pochowany z tego powodu, że rozwiódł się z żoną i nie mógł być pochowany w rodzowym grobowcu – mówi o zmarłym w 1888 roku szlachcicu.

– Zamek na przestrzeni lat przechodził z rąk do rąk. W końcu znalazł się w rękach Rotschildów. Kiedy zaczęły działać tutaj kopalnie i było dużo katastrof górniczych, stwierdzono, że potrzebny jest szpital. Zrobiono więc szpital w budynku dawnego zamku. Funkcjonował w tym miejscu bardzo długo. Był tu jeszcze za komuny, budynek wyburzono w latach 70. – wspomina moja przewodniczka wskazując na umieszczone na tablicy ustawionej w ramach ścieżki edukacyjnej Zapomniana Orłowa (Zapomnutá Orlová) zdjęcie z lat 20. XX w. Oprócz zdjęcia i krótkiego opisu na tablicy znajduje się qr kod, czytanie którego odsyła zwiędzającego do strony ścieżki zawierającej obszerny opis (niestety tylko w języku czeskim) oraz kilka dodatkowych fotografii.

Ruszamy alejką przez park. Z jego terenu wychodzimy innym wyjściem, na ulicę Petra Cingra, wprost na dwa okazałe trzypiętrowe budynki (fot. 27). – Takie budynki były wzdłuż całej tej ulicy. Na dole były sklepy, luksusowa cukiernia, drogeria, sklepy tekstylne – wylicza Śliwkova.

– A tutaj, gdzie ten przystanek (fot. 28), był wieczny ogień. Z kopalni wydobywał się gaz, który zapalili i to się paliło ciągle, był to wtedy sposób na odgazywanie szybów kopalnianych – wyjaśnia moja przewodniczka.

GIMNAZJUM

– W miejscu, gdzie teraz widzimy rudery, były sklepy – moja przewodniczka wskazuje na szereg niskich, parterowych, w większości zaniedbanych budynków po lewej stronie, wzdłuż których idziemy. – Tu był bar mleczny. Uczniowie gimnazjum, gdy mieli jakieś pieniądze, przychodzili tu na lody czy kanapki. Z kolei po prawej stronie, gdzie jest skład materiałów budowlanych, jeszcze w latach 60. XX wieku były tańce – opisuje moja przewodniczka.

Idziemy w kierunku gimnazjum na Obrokach. To znaczy w kierunku miejsca, gdzie owa legendarna placówka się znajdowała. Obecnie jest tu pomnik i tablica informacyjna, które szkołę upamiętniają (fot. 30). – Ta ulica (fot. 29) oczywiście w tamtych czasach wyglądała zupełnie inaczej. Po obu stronach była gęsta zabudowa. Tu, gdzie ten zagajnik, była kwiaciarnia i cukiernia. No i tutaj, przy tej ulicy, były te najbardziej reprezentacyjne wille – mówi moja przewodniczka, podczas gdy idziemy skrajem jezdni pozbawionej chodnika, a nawet pobocza, przy której jedyną zabudowę stanowią pojedyncze chatki typowe dla ogródków działkowych.

W ten sposób dochodzimy do pomnika autorstwa Bronisława Firli upamiętniają-

[29] Ulica Tyršova prowadząca do pomnika upamiętniającego polskie gimnazjum na Obrokach



[30] Pomnik upamiętniający polskie gimnazjum na Obrokach





[31] Tutaj był Dom Robotniczy



[32] Ulica Petra Cingra wzdłuż której było kilka szkół średnich

cego polskie gimnazjum na Obrokach (fot. 30). Znajduje się przy nim dwujęzyczna, czesko-polska tablica krótko opisująca, co tu było. Jest też zdjęcie budynku oraz qr kod, po zeskanowaniu którego można poszerzyć wiedzę o Polskim Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego na Obrokach.

– Tu, naprzeciw gimnazjum, gdzie teraz stoi jakaś chatka ogródków działkowych, była willa dyrektora szkoły. A tam dalej, za pomnikiem, była bursa. Mieszkali w niej uczniowie z dalszych stron, z „Goroliji” – przybliża przewodniczka.

Spod pomnika Gimnazjum wracamy niecałe 600 metrów tą samą drogą, tym razem trawnikiem po jej lewej stronie. – *Pamiętam jeszcze, jak tutaj był chodnik...* – wspomina rodowita Porębianka. – *Tam, na wprost, tą ścieżką, szło się na skróty na dworzec kolejowy* – dodaje, gdy tak, jak główna droga, skręcamy w lewo.

– *W tym miejscu był Dom Robotniczy* – wskazuje na kawałek trawnika po lewej stronie drogi, tuż przed skrzyżowaniem z ulicą Petra Cingra (fot. 31). – *Odbywały się tutaj liczne imprezy, uczniowie gimnazjum wystawiali tutaj przedstawienia teatralne. Życie kulturalne Orłowej było bardzo bogate. Mówiło się, że Orłowa jest „miastem studen-*

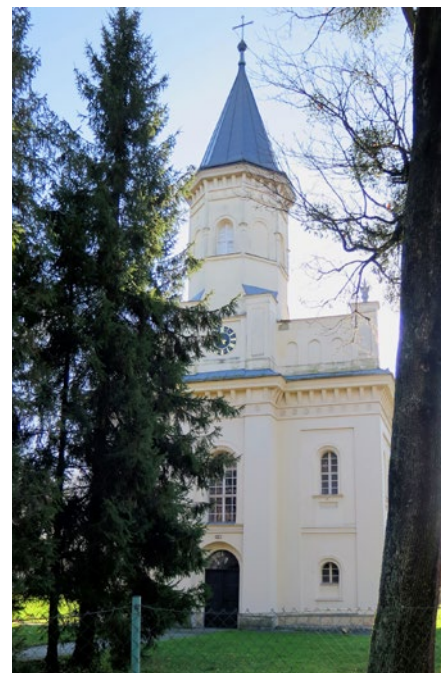
tów”. Oprócz dwóch gimnazjów były tu szkoły zdrowotna, handlowa, średnia szkoła pedagogiczna. Wszystkie na jednej ulicy, oprócz polskiego gimnazjum usytuowanego przy równoległej ulicy – dodaje.

ULICĄ SZKÓŁ DO KOŚCIOŁA EWANGELICKIEGO

Gdy dochodzimy do ulicy Petra Cingra, skręcamy nie w prawo, skąd przyszliśmy, ale w lewo (fot. 32). Idziemy poboczem ulicy, o której moja przewodniczka przed chwilą wspominała, że było wzdłuż niej tak wiele szkół średnich. Dziś świadczą o tym jedynie ustawione wśród zarośli tabliczki ścieżki edukacyjnej (fot. 33). – *Tutaj w lewo szło się do tej bursy, o której wspominałam* – pani prezes wskazuje na jedną z leśnych ścieżek.

Dochodzimy do znajdującego się po prawej stronie drogi kościoła ewangelickiego (fot. 34). Skręcamy przed budynkiem kościoła w prawo, w wąską asfaltową drogę. Po jej prawej stronie, naprzeciw kościoła, znajduje się wiata turystyczna, a przy niej tablica informacyjna z krótkim opisem kościoła, archiwalnymi zdjęciami oraz qr kodem odsyłającym do strony zboru. – *Był*

w tej okolicy nie tylko kościół ewangelicki, który się zachował, ale też m.in. synagoga. Była też sala zborowa, w której kwitło nie tylko religijne, ale i polskie życie w Orłowej. Polacy w Orłowej byli w większości wyznania ewangelickiego, w przeciwieństwie do niedalekiej Karwiny, która była bardziej katolicka – wyjaśnia moja przewodniczka.



[34] Kościół ewangelicki

[33] Ustawione wśród zarośli tabliczki ścieżki edukacyjnej informujące o obiektach, jakie w przeszłości znajdowały się w poszczególnych miejscach.



[35] Pozostałości dawnej kopalni Mühsam





[36] Tutaj kiedyś była szkoła handlowa



[37] Z kolejnego skrzyżowania widać już w oddali rynek w Orłowej.

Od kościoła idziemy prosto drogą pomiędzy... niczym a niczym. Gdy dochodzimy do skrzyżowania, skręcamy w prawo. Po chwili po lewej stronie wyłaniają się pozostałości dawnej kopalni Mühsam (fot. 35). Z przytwierdzonej do ogrodzenia szybu wentylacyjnego tabliczki dowiadujemy się, że kopalnia funkcjonowała w latach 1838 – 1896, a ostateczna likwidacja nastąpiła w roku 2001.

Na następnym skrzyżowaniu idziemy prosto, a na kolejnym w prawo. Po lewej stronie wzdłuż drogi ciągnie się płot, za którym znajdują się domki letniskowe i przyczepy kempingowe. Po prawej stronie drogi urokliwy zagajnik. – *Tutaj była szkoła handlowa* – moja przewodniczka wskazuje na zagajnik (fot. 36). – *Wszystko tutaj, po obu stronach drogi, było zabudowane* – uzupełnia.

Z kolejnego skrzyżowania widać już w oddali rynek w Orłowej (fot. 37). Idziemy ulicą Husa wzdłuż nasypu dawnej linii tramwajowej, który mamy po lewej stronie. Tu również informacje poszerzyć można po zeskanowaniu qr kodu z tabliczki ścieżki edukacyjnej.

W ten sposób dochodzimy do rynku (fot. 39). Jest to ta część starej Orłowej, która wciąż tętni życiem. Wprawdzie po targowisku nie ma już śladu, a jego miej-

[39] Rynek



[38] Wzdłuż dawnego nasypu linii tramwajowej

sce zajął parking, ale budynki mijanej po prawej stronie pierzei wciąż pełnią swe funkcje. Znajduje się tu sklep, w którym można zakupić również gotowe już kanapki, restauracja, urząd miasta, poliklinika.

Przechodzimy przez rynek, a następnie koło kościoła. Idziemy ulicą Lidicką, równoległą w tym miejscu do Dworcowej, którą przyszliśmy. Mijamy po prawej stronie park zamkowy i idziemy drugą stroną zalesionego pagórka, koło którego przechodziłyśmy dochodząc do centrum Orłowej (fot. 40).

[40] Idziemy drugą stroną zalesionego pagórka, koło którego przechodziłyśmy w stronę do centrum Orłowej.



– *Kiedyś, jeszcze zanim odkryto na tych terenach węgiel, były tutaj solanki. Były jednak głęboko i było ich mało, wydobycie zakończono jeszcze w XIX wieku. Ale jest to wszystko geologicznie powiązane i z Solcą i z darkowskim sanatorium* – Śliwkowa opowiada, podczas gdy idziemy wzdłuż resztek muru okalającego park zamkowy (fot. 41).

Teraz po lewej stronie widzimy dawną rzeźnię, a za nią w oddali pozostałości kopalni „Zofia”, po prawej zaś w oddali bloki osiedla Orłowa-Lutynia.

Dochodzimy do mostka, którym tu przyszliśmy, po czym następne 670 metrów idziemy tą samą drogą, którą szliśmy w przeciwnym kierunku. Dopiero pod koniec, 300 metrów przed ulicą Śląską – główną drogą przez Porębę – idziemy nieco inaczej. Zamiast skręcić na mostek przez Strużkę, którym tu przyszliśmy, idziemy dalej prosto. Tak dochodzimy do ulicy Śląskiej. Skręcamy w lewo. Dalej, już do końca naszego spaceru, a więc ostatnie niespełna 700 metrów, wędrujemy chodnikiem wzdłuż głównej drogi przez centrum Poręby, koło domów dawnej kolonii robotniczej. Tak dochodzimy do parkingu przed Domem PZKO, gdzie zaczynałyśmy nasz spacer. Za nami 10 km spaceru.

[41] Resztki muru okalającego park zamkowy



Szanowni Czytelnicy, od wielu lat przygotowywał dla Was krzyżówkę Jan Ondraszek. Dziękujemy mu za jego zaangażowanie. Obecnie poszukujemy nowego autora, jeśli wśród naszych Czytelników jest ktoś, kto lubi i umie robić krzyżówki, zapraszamy do współpracy – wystaczy napisać do nas na info@zwrot.cz. Żeby jednak nie zostawić Was przed świętami bez krzyżówki, wybieramy jedną z naszego obszernego archiwum. Na rozwiązanie tradycyjnie czekamy do 9 stycznia 2026.

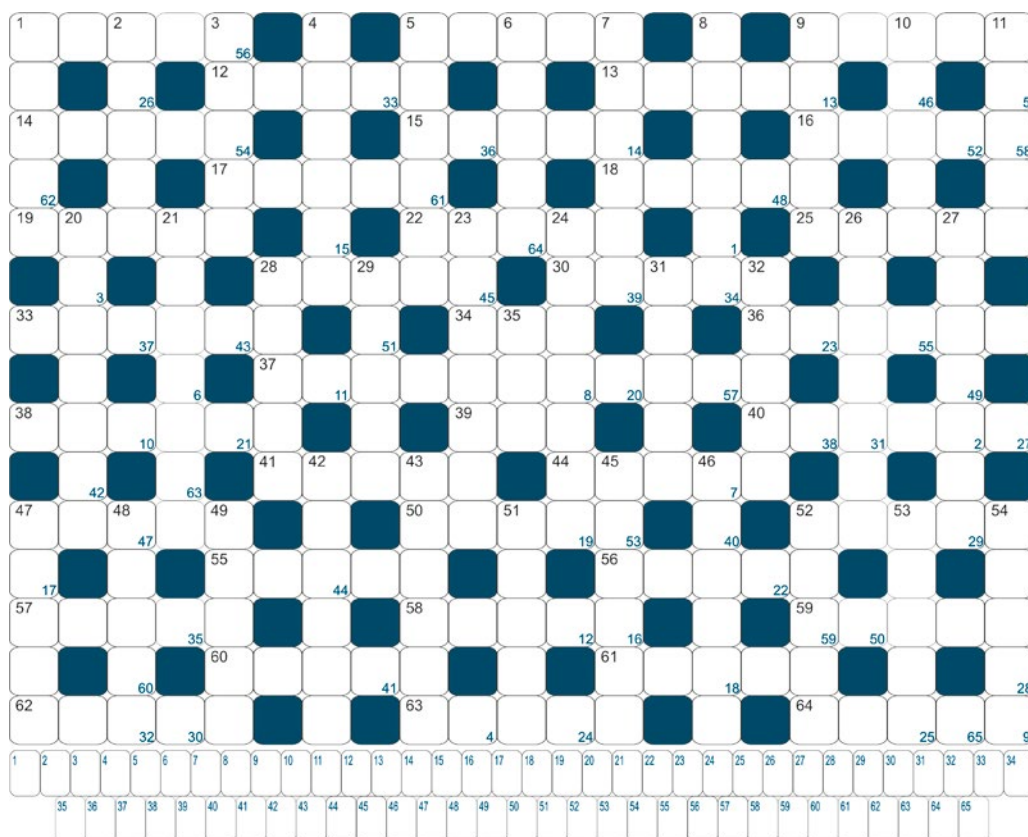
POZIOMO:

1. zeszyt do zapisywania uwag
5. imię Dymyzy
9. selekcja
12. zagon z kwiatami
13. oprawiona w ramy sztuka
14. pojazd w kuligu
15. podniesienie do wyższej rangi
16. najliczniejsze po Chinach
17. dodatkowa walka na planszy

18. regionalna odmiana języka
19. figiel
22. znane miasto włoskie
25. bywa bita
28. przednia strona głowy ludzkiej
30. cenna starość
33. naturalna spadzista płaszczyzna terenu
34. metal z grupy skandowców
36. „brzydkie kaczątko”

37. brak sprawności fizycznej
38. jedzie z daleka
39. „listopadowa” na scenie
40. kaukaski mistrz w jeździe konnej
41. stolica polskiej piosenki
44. polarna na niebie
47. widziadło senne
50. porcja czasu
52. stan wielkiego uniesienia

55. linia w kształcie koła
56. polskie włókno poliestrowe
57. łasi się do kotki
58. absolutnie doskonały
59. amerykański mieszaniec
60. ma swój czubek
61. łajba Winnetou
62. koszenie zboża
63. dychawica
64. donosić



PIONOWO:

1. usypisko
2. okrągły obraz z czasów renesansu
3. pas gleby za plugiem
4. zalecanie się w gwarze młodzieżowej
5. osłona na lampę
6. zamieszkuje dżunglę w dorzeczu Konga
7. użyty jako gaz bojowy w I wojnie światowej
8. uroczyscie brzmią w kościele
9. gałąź do obrazu
10. rogaćca udomowiona
11. roślinny symbol zdrowia
20. potężne drzewo kalifornijskie
21. produkt z tartaku
23. budzi się po nocce
24. więźnia
26. pozycja w formularzu
27. 3600 sekund
28. taniec rodem z Argentyny
29. opera Rachmaninowa.
31. ordyniec
32. rzucana pod nogi
35. drugi plan
42. uroczysty przegląd wojsk
43. poprawne myślenie
45. owalna bryłka masła
46. sypie się z kłosów
47. małpa wąskonosna
48. Jacek w piaskownicy
49. reprezentował Czechów w tenisie
51. pospolita polska roślina
52. średniowieczna budowla obronna
53. powieść Sienkiewicza
54. smaczna ryba z różowym mięsem

ROZWIĄZANIE DODATKOWE

(Autor sentencji: Mikołaj Gogol) / Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przesyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do 9 stycznia 2026.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 11/2025:

Każdy widzi w drugich te same wady, które drudzy widzą w nim.

Nagrodę, bon do Vinotéki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Karol Kufa z Mostów koło Jablonkowa. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB

**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

9 W Trzyciezu odbyło się coroczne Jesienne Spotkanie, podczas którego wręczono nagrody w konkursie plastycznym uczniom szkół podstawowych z Trzycieża i Gnojnika za prace związane z puszczaniem latawców oraz strojami regionalnymi. Po części konkursowej zatańczył Zespół Taneczny *Trzanowice*. Goście mogli wysłuchać również fortepianowego show w wykonaniu Andrzeja Molina i Tomáša Vrány, które opowiadało o muzyce na przestrzeni dziejów. ▼



9 W Domu PZKO w Jabłonkowie odbyło się zebranie członkowskie MK PZKO, na którym podsumowano mijający rok oraz przyjęto 16 nowych członków. Omówiono zrealizowane działania, m.in. remont szatni zespołu, porządkowanie Mazurów i liczne projekty kulturalne, a także przedstawiono plany na kolejny rok, w tym remont okien, modernizację stoiska w Łasku Miejskim i zakup kontenera na sprzęt. W części artystycznej zaprezentował się chór szkolny, a referat o Święcie Niepodległości wygłosił Andrzej Mruzek. ▼



9 W Ośrodku Kultury *Strzelnica* w Czeskim Cieszynie odbyła się gala 22. edycji organizowanego przez Kongres Polaków w RC plebiscytu *Tacy Jesteśmy*. Podczas wydarzenia zaprezentowano dziewięciu nominowanych działających na polu kultury, edukacji i aktywności społecznej. Nagrodę publiczności otrzymał Zespół Regionalny *Błędowice*, a główną nagrodę *Złoty Jestem* przyznano skrzypaczce Helenie Hampalowej. ▼



11 W dużej sali Domu Polskiego na ul. Bożka w Czeskim Cieszynie odbyło się *Patryotyczne popołudnie* z okazji Narodowego Święta Niepodległości, przygotowane przez MK PZKO Czeski Cieszyń-Centrum. Referat *Walka, marzenie, niepodległość – Piłsudski w czasie I wojny światowej* wygłosił Stanisław Folwarczny, a pieśni legionowe zaśpiewał chór Godulan-Ropica pod dyktando prof. Alojzego Suchanka. Uczestników poczęstowano polskim bigosem. ▼



11 W kościele pw. Bożego Ciała w Jabłonkowie odbył się koncert *Tęsknota, która łączy pokolenia* z okazji 107. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Wystąpił kwartet jazzowy (fortepian, kontrabas, trąbka, perkusja), zaśpiewali Natalia Bujak i Karol Drozd, a poezję Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, Staffa i Asnyka recytował Leszek Zduń. Wydarzenie zorganizowały: Biuro Wydarzeń Kulturalnych IPN, Biuro Przystanków Historia Zaolzie oraz Kongres Polaków w RC. ▼



13 W Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze odbyła się uroczystość z okazji Narodowego Święta Niepodległości, która zgromadziła Polaków mieszkających w Czechach. Po odśpiewaniu hymnów głos zabrała chargé d'affaires a.i. Barbara Tuge-Erecińska, przypominając o drodze Polaków do wolności i znaczeniu współczesnej solidarności. W wydarzeniu uczestniczyli również przedstawiciele środowisk polonijnych, w tym z Zaolzia. ▼



13 W kościele ewangelickim Na Niwach w Czeskim Cieszynie odbył się koncert *Małe Jesienne Do Re Mi* chórów Polskiej Szkoły Podstawowej w Czeskim Cieszynie *Trallala* oraz *Trallalinki* pod dyrekcją Beaty Brzóska. Gościnnie wystąpił też chór *Rozmarynek* z Hawierzowa. ▼



14 W saloniku Miejskiego Ośrodka Kultury *Strzelnica* w Czeskim Cieszynie odbyły się centralne eliminacje jubileuszowej XXX edycji konkursu recytatorskiego *Kresy*. Jury wyłoniło laureatów we wszystkich kategoriach wiekowych, a zwyciężczynie kategorii najstarszej – Karolina Filipczyk i Anna Jiravská – otrzymały nominację do finału w Białymstoku. ▼



15 W Domu Kultury *Trisia* w Trzyńcu odbył się Zjazd Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Delegaci Zjazdu przyjęli nowy statut i wybrali skład nowego Zarządu Głównego, któremu powierzyli obowiązek kierowania Związkiem w kadencji 2025–2029. Zmiana statutu przewiduje, że prezesa Związku wybiera ze swego grona nowowybrany Zarząd, a nie jak dotąd delegaci Zjazdu. Prezesem została wybrana Helena Legowicz. Nowy Zarząd Główny tworzą: Helena Legowicz, Marek Bartnicki, Andrzej Suchanek, Stanisław Folwarczny, Stanisław Kólek, Halina Szczotka, Tadeusz Farny, Marian Szpyrc, Andrzej Niedoba, Dagmar Kluzová, Lech Niedoba. ▼



15 W Wędrzynie obchodzono jubileusz 120-lecia gmachu szkolnego. Z tej okazji wystawiono *Kopciuszka XXI wieku*, czyli widowisko przygotowane przez uczniów miejscowej szkoły. Jubileusz połączono z wystawą dokumentującą historię szkoły, konkursem plastycznym inspirowanym baśnią oraz prezentacją filmowych wspomnień byłych nauczycieli i absolwentów.

15 W kościele ewangelickim Nawsiu odbył się koncert jubileuszowy z okazji 70-lecia Chóru Żeńskiego *Melodia* oraz 25-lecia pracy artystycznej jego dyrygentki Aleksandry Zeman. W programie koncertu wystąpiła jubilatka *Melodia*, zaprezentowali się też goście: Chór Męski *Gorol* z Jabłonkowa pod batutą Katarzyny Kantor oraz *Kamera-lisici Śląska Cieszyńskiego* z Cieszyna, prowadzeni przez Aleksandrę Paszek Trefon. ▼



16 Do Piosku po 40-letniej przerwie powrócił profesjonalny teatr – na scenie gospody *U Łabaja* wystąpiła Scena Polska Teatru Cieszyńskiego z Czeskiego Cieszyna ze spektaklem *Garderoba damska*.

20 W siedzibie ZG PZKO spotkali się członkowie Sekcji Ludoznawczej, by podsumować działania ubiegłego okresu i zaplanować najbliższe przedsięwzięcia. Podczas zebrania omówiono m.in. wyjazd do Wilamowic, udział w międzynarodowym projekcie *Visegrad for Reviving Vernacular Heritage* oraz warsztaty w Serbii i w Czechach. Sekcja zaprezentowała się też na uroczystości z okazji Święta Niepodległości w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie. ▼



20-22 W Domu Kultury w Kocobędzu odbyło się zgrupowanie Dziecięcego Zespołu *Rytmika*. Zwieńczeniem spotkania był Bal Andrzejkowy, podczas którego ponad 70 tancerzy z czterech grup wiekowych zaprezentowało różnorodne układy – od poloneza, przez cieszyńską wiązanekę, po tańce wspólczesne i walczyka. Wieczór uzupełniły występ zespołu *Olza*, wspólne tańce rodzin z dziećmi, bufet, sprzedaż kotyliionów przygotowanych przez dzieci oraz andrzejkowe wróżby. ►



21 W Domu PZKO w Oldrzychowicach odbyło się spotkanie z fotografem René Jajfoszem zatytułowane *Beskidy oczami fotografa*. Artysta opowiadał o swojej drodze twórczej, technice pracy w terenie, pokazał też fotografie z licznych wypraw po górach. W prelekcji szczególny akcent położono na piękno Beskidów – organizatorzy podkreślali, że prezentowane zdjęcia stanowią zachętę do odkrywania lokalnych tras i docenienia bliskości natury. Wieczór uświetnił wiersz miejscowej poetki Wandy Michalko.

21 W Domu PZKO w Orłowej-Lutyni otwarto wystawę prac par z Klubu Kobiet OLA oraz fotografii z działalności MK PZKO Orłowa-Lutynia. Zaprezentowano ozdoby rękodzielnicze: stroiki, dekoracje choinkowe, wyroby z gliny i obrazy; dodatkowo odbyła się prelekcja Michała Milerskiego o tradycjach pasterskich – z prezentacją pasterskich instrumentów i opowieściami o owcach. W czasie wernisażu można było też kupić tradycyjne specjały ze świnioobicia, nabyć książki z „Księgarni u Wirthów” i skosztować domowego poczęstunku.

21-22 W Domu PZKO w Gródku odbyła się trzecia edycja *FEST Outdoor*, która po raz kolejny przyciągnęła miłośników gór, podróży i outdooru z obu stron Olzy. Ważnym punktem programu była prelekcja Doroty Rasińsko-Samocho, polskiej himalaistki i podróżniczki, która opowiedziała o swoich wyprawach w najwyższe góry świata. Wśród pozostałych gości znaleźli się m.in. Michał Klesio (Andy i Patagonia), Petr Vabroušek (ekstremalne triathlony), bracia Krzysztof, Andrzej i Grzegorz Kadłubowie (trekking pod Mont Blanc) oraz czescy podróżnicy David Czempka i Michaela Krejčová. Uczestnicy wzięli także udział w warsztatach *nordic walking*, zajęciach prozdrowotnych i morsowaniu w Olzie. Całe wydarzenie dopełniły koncerty.

21-22 W Czytelnii w Wędrzynie odbyły się Warsztaty Bożonarodzeniowe, na które przybyło ponad 30 wystawców, w tym goście ze Słowacji. Na stoiskach można było kupić świąteczne ozdoby, wieńce adwentowe, rękodzieło, biżuterię, pierniczki i domowy chleb, a chętni mogli samodzielnie ozdabiać pierniki czy tworzyć stroiki. Towarzyszyły temu warsztaty rękodzielnicze, a panie z Klubu Kobiet PZKO serwowały domowe potrawy i wypieki. Całość dopełniła wystawiona choinka i świąteczna dekoracja sali. Wydarzenie przyciągnęło wielu mieszkańców i gości.

22 W Polskiej Szkole Podstawowej i Przedszkolu w Olbrachcicach odbył się dzień otwarty, podczas którego placówka – najstarsza polska szkoła na Zaozlu – zaprezentowała swoje nowoczesne i alternatywne metody nauczania, m.in. programowanie, zajęcia ruchowe, pracownice tematyczne i pracę w małych klasach. Odwiedzający mogli zobaczyć przygotowane „bajkowe” stanowiska i porozmawiać z nauczycielami, a rodzice podkreślali znaczenie dwujęzyczności oraz kontaktu dzieci z polskim językiem i kulturą. ▼



22 Ewa Farna po raz kolejny zwyciężyła w plebiscycie Czeski słowik (*Český slavík*) 2025, zdobywając tytuł Najlepszej Wokalistki oraz wyróżnienie Absolutnego Słowika dla najbardziej popularnego wykonawcy.

22 W Domu PZKO im. Adama Wawrośa w Trzyńcu odbyła się zabawa *Zabijaczka*, zorganizowana wspólnie przez Miejsowe Koła PZKO z Trzyńca-Osiedla i Lesznej Dolnej. Połączone siły obu kół pozwoliły wypełnić salę gośćmi, uczestnicy degustowali tradycyjne przysmaki, tańczyli i oglądali występ zespołu *Małe Oldrzychowice*, a także wzięli udział w loterii.

23 W Gródku odbyły się uroczystości upamiętniające Wincentego Witosa z udziałem delegacji Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa z Wierchosławic. Złożono kwiaty pod pomnikiem polityka, odśpiewano hymn i *Rotę*. Najważniejsze fakty z życia Witosa przypomniał Stanisław Gawlik. Delegacja odwiedziła także miejscową polską szkołę, gdzie uczniowie przygotowali część artystyczną i prezentację o Witosie. ▼



23 W Domu PZKO Kasowy w Mostach koło Jabłonkowa odbył się finał czwartej edycji zabawy turystycznej *Przez Kopce* organizowanej przez PTTS *Beskid Śląski* i drużynę harcerską *Czarne Pantery* z Trzyńca. Uczestnicy, którzy w 2025 roku zdobyli wymagane dziesięć beskidzkich szczytów, odebrali pamiątkowe dyplomy; w finale wzięło udział 128 osób. W programie znalazły się również warsztaty dla dzieci oraz pokaz *Gimnastów* z Wędrziny. ▼



24 W Pradze odbyło się spotkanie prezydenta Polski Karola Nawrockiego z prezydentem Czech Petrem Pavlem; w uroczystym obiedzie uczestniczyła również prezes PZKO Helena Legowicz. ▼



24-25 Przedstawiciele Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego odwiedzili domy PZKO, remontowane ze środków polskiego budżetu, m.in. w Cierlicku, Milikowie, Mostach koło Czeskiego Cieszyna oraz siedzibę ZG PZKO – tzw. Fasalówkę.

25 Uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej w Czeskim Cieszynie wzięli udział w warsztatach prowadzonych przez redakcję Zwrotu, podczas których uczyli się technik nagrywania podcastów – od przygotowania do rozmowy z gościem, przez kwestie techniczne, aż po samą realizację nagrania. Warsztaty poprowadziła redaktor naczelna Halina Szczotka. Po części teoretycznej uczniowie mieli okazję nagrać własne podcasty we współpracy z rówieśnikami z Teatryku GAPA 3.



25 W Ośrodku Kultury Strzelnica w Czeskim Cieszynie odbyła się 19. edycja Przeglądu Małych Form Scenicznych dla przedszkolaków, podczas której blisko 40 dzieci z polskich przedszkoli z Zaolzia zaprezentowało swoje umiejętności aktorskie i recytatorskie. W ich repertuarze znalazły się wiersze polskich autorów, m.in. Jana Brzechwy, Juliana Tuwima, Marii Konopnickiej, Doroty Gellner i Danuty Zawadzkiej. Wydarzenie zorganizowały Macierz Szkolna w Republice Czeskiej, Kongres Polaków w Republice Czeskiej oraz Konsulat Generalny RP w Ostrawie.



25 W klubie Dziupla w Czeskim Cieszynie odbyło się forum *Za kulisami teatrów polskich poza Polską*, podczas którego kierownicy, reżyserzy i aktorzy amatorskich scen z Zaolzia (m.in. z Nieborów, Karwiny, Ligotki Kameralnej i Wędryni), przedstawiciele Cieszyńskiego Centrum Teatru i Kultury działającego przy Teatrze Cieszyńskim oraz Edward Kiejzik z Litwy omówili swoje bieżące wyzwania i potrzeby. Uczestnicy podkreślali brak stabilnego finansowania, trudności techniczne (zwłaszcza w zakresie scenografii, nagłośnienia i oświetlenia), a także potrzebę regularnych wspólnych warsztatów i konsultacji merytorycznych. Forum stało się również miejscem wymiany doświadczeń dotyczących pracy z młodzieżą oraz pozyskiwania nowych aktorów.



25 W „Księgarnia u Wirthów” w Czeskim Cieszynie odbyło się spotkanie autor-skie z polską pisarką Roksaną Jędrzejewską Wróbel, która zaprezentowała swoją nową interpretację baśni w ramach cyklu *Siedem szczęśliwych*.



27 W Centrum Pedagogicznym dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie odbyło się podsumowanie projektu *Słówkolandia* – cyklu szkoleń dla nauczycielek przedszkoli i szkół podstawowych z Zaolzia, mających na celu doskonalenie umiejętności wspierania poprawnej polskiej wymowy u dzieci.



28 W Domu PZKO w Orłowej-Lutyni Klub Młodych zorganizował zabawę andrzejkową dla dzieci i rodziców. Na uczestników czekały stoiska z wróżbami oraz pokaz z „czarodziejką” odczytującą przyszłość z kryształowej kuli. Dla najmłodszych przygotowano kącik taneczny, malowanie twarzy i strefę artystyczną; dorośli mogli odpocząć przy kawie, herbacie lub ponczu.

29 W Domu PZKO w Gródku odbyło się coroczne zebranie członków PTTS *Beskid Śląski*, na którym podsumowano mijający sezon turystyczny. W 2025 roku PTTS zorganizowało 95 wycieczek i imprez, w których uczestniczyło 2201 osób. Przy tej okazji wyróżniono turystów-rekordzistów oraz najaktywniejszych kierowników wycieczek.



29 W Domu PZKO w Lesznej Dolnej odbył się drugi Jarmark Bożonarodzeniowy, zwieńczony uroczystym rozświetleniem choinki. W budynku zaprezentowano ręcznie wykonane dekoracje, ozdoby i przedmioty użytkowe – m.in. drewniane zegary, ozdobne szopki i bielizny autorstwa miejscowych twórców. Na zewnątrz funkcjonowały stoiska z domowymi wypiekami, plackami ziemniaczanymi i grzańcem, które cieszyły się dużym zainteresowaniem. Jednym z organizatorów wydarzenia jest MK PZKO Leszna Dolna.

PAMIĄTKA RODZINNA

CZARNO-BIAŁA FOTOGRAFIA ARCHIWALNA – JAN RASZKA Z CÓRKAMI

Ze zbiorów rodzinnych Joanny Walaszek (wnuczki Jana Raszki) / Opis: Sylwia Grudzień



Fotografia czarno-biała, wykonana w 1939 roku w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim.

Przedstawia Jana Raszkę – znanego rzeźbiarza, medaliera i pedagoga – w towarzystwie jego dwóch córek: młodszej Danuty (po jego prawej) i starszej Anny (po jego lewej).

Jan Raszka stoi w centralnej części kadru, ubrany w elegancki garnitur w paski, białą koszulę i krawat, na głowie ma kapelusz, w prawej ręce trzyma laskę. Jest uśmiechnięty, śmiało spogląda w obiektyw.

Po jego lewej stronie stoi Anna Raszkówna w regionalnym stroju cieszyńskim, ręce złożone z przodu, lekko uśmiechnięta. Po stronie prawej Danuta Raszkówna, również w tradycyjnym stroju cieszyńskim, ręce skrzyżowane z przodu, wyraz twarzy spokojny i nieco dziecięcy.

Zdjęcie wykonane w plenerze, w tle widoczne drzewa i fragment zabudowań wiejskich.

Więcej na temat pamiątek rodzinnych Joanny Walaszek w środku numeru.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.